WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA W KRAKOWIE WYNOSI: DO KOŃCA ROKU 4 KORONY.
NUMER POJEDYŃCZY 20 h.
20 CENTIMÓW, 20 FENIGÓW, 10 KOP.

GŁOS LITERACKI I SPOŁECZNY.

WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA ZAMIEJSCOWA WYNOSI: DO KOŃCA ROKU 5 KORON.
ZA GRANICĄ — 5 MAREK, 5 FRANKÓW ALBO 2 RUBLE.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI

„Głos literacki i społeczny“ dołączany jest jako bezpłatny niedzielny dodatek dla wszystkich abonentów dziennika „Głos Narodu“.

Nr. 23. Kraków, dnia 16. grudnia. 1900.

Jubileusz 500-tnego przedstawienia „Halki“

w warszawskim Teatrze Wielkim.

Warszawa obchodziła zeszłej niedzieli prawdziwe święto muzykalne, któremu ze względu na niesłychany ucisk myśli narodowej, języka i wogóle wszystkiego, co polskie, słusznie można przyznać nazwę uroczystości narodowej. „Halka“, arcydzieło nieśmiertelnego Moniuszki, dzieło, w którem nasz „lirnik wioskowy“ złożył „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty“, święciło jubileusz 500 wystawienia na tamtejszej Wielkiej scenie.

Pierwszy chrzest sceniczny odebrała „Halka“ w Wilnie w r. 1856, ale w formie nieco innej, aniżeli dzisiejsza. Wówczas opera ta miała tylko dwa akty. Dawny pierwszy kończy się na dzisiejszem zakończeniu drugiego, dawny drugi zaś zaczynał się od obecnego trzeciego.

Gdy za wpływem dyrektora Quattriniego postanowiono przedstawić „Halkę“ w Warszawie, Moniuszko, za poradą kilku osób, a głównie ówczesnego reżysera opery, Matuszyńskiego, postanowił dokonać kilku przeróbek: rozszerzył operę na cztery akty i dorzucił do niej całą garść prawdziwych klejnotów, jak: pieśń Janusza „Czemuż mi w chwilach samotnych owych“, polonez stolnika „O mościwi mi panowie“, mazur na zakończenie aktu I, pieśń Halki „Gdyby rannem słonkiem“ i duet Janusza z Jontkiem „Wszak ci mówiłem, prosiłem przecie“ w akcie II-gim, wreszcie ulubioną zawsze dumkę Jontka „Szumią jodły na gór szczycie“ w akcie IV-tym. Reszta jest pozostałością dawnej „Halki“.

W formie już zmienionej, a przechowanej do dnia dzisiejszego, „Halka“ pojawiła się w Warszawie po raz pierwszy w dzień Nowego Roku 1858, główne partye wykonali: Rivoeli (Halka) i Dobrski (Jontek). Publiczność przyjęła nową operę z zapałem; krytyka dosyć chłodno. Zarzucono naprzykład, iż treść „Halki“ jest niemoralną i nieprzyzwoitą!... Nikomu z krytyków ówczesnych na myśl nawet nie przyszło, iż jest to dzieło epokowe, że w muzyce polskiej stanowić ono będzie chwilę przełomową. A jednak tak jest istotnie, od „Halki“ dopiero zaczynają się dzieje opery polskiej. Dawniejsze kompozycye sceniczne Kurpińskiego, Elsnera i innych, jakkolwiek miały charakter narodowy, nie były jednak ujęte w tę formę, jaką przywykliśmy uważać za najwłaściwszą dla opery.

O powodzeniu „Halki“, a zarazem o coraz bardziej rosnącem dla niej uznaniu najlepiej świadczą cyfry i daty: W roku 1866 grano ją po raz 100-ny; w 1876 po raz 200-ny; w 1885 po raz 300-ny; w 1894 po raz 400-ny — wreszcie obecnie po raz 500-ny. Innemi słowy: pierwsza setka przedstawień „Halki“ odbyła się w ciągu lat 18-tu, druga w ciągu 10-ciu, trzecia w ciągu 9-ciu, czwarta w ciągu 8-miu, wreszcie piąta w ciągu lat 7-miu. Z biegiem czasu to arcydzieło muzyki polskiej coraz częściej bywa grywane, coraz większe ma powodzenie. Nie starzeje się nigdy — przeciwnie, coraz świeższem się wydaje.

Inne partycye Moniuszki mogą posiadać pod niejednym względem wyższość zalet artystycznych: „Hrabina“ naprzykład — jednolitość stylu i klasyczną niemal poprawność form muzycznych: „Verbum nobile“ — cudownie odtworzony nastrój sielankowy i znakomitą barwę kolorytu lokalnego; „Straszny Dwór“ — skończone majsterstwo w szczegółach technicznych i wspaniałe efekta wielośpiewów: „Widma“ — niedorównane zespolenie tekstu z muzyką i przepyszną ilustracyą muzyczną całej akcyi; nigdzie jednak nie znajdziemy tak silnie wzruszającej plastyki uczucia, tak bogato szerokiem korytem płynącej fali rzewnego liryzmu, jak w ulubionych powszechnie i zarówno dziś, jak przed czterdziestu laty, chwytających słuchacza za serce uroczych melodyach „Halki“.

To też śmiało rzec można, że nie ma drugiej opery, któraby tak głęboko zapuściła korzenie swych melodyj w grunt naszego społeczeństwa, któraby stała się tak popularną, tak dobrze znaną wszystkim warstwom naszego narodu, jak „Halka“. Kto nie zna na pamięć wszystkich główniejszych jej aryj? Jaki początkujący tenor nie próbuje swego „la naturale“ na „Szumią jodły“, jaka sopranistka nie nuci „Gdyby rannem słonkiem“, jaki wreszcie chór nie grzmi porywającego poloneza: „Niechaj żyje para młoda“? Popularność, będąca po dziś dzień udziałem „Halki“, stanowi jasny dowód, iż nieśmiertelne moniuszkowskie melodye wywierają jeszcze swój czar na każdem polskiem sercu, czar, który chyba nigdy się nie rozwieje.

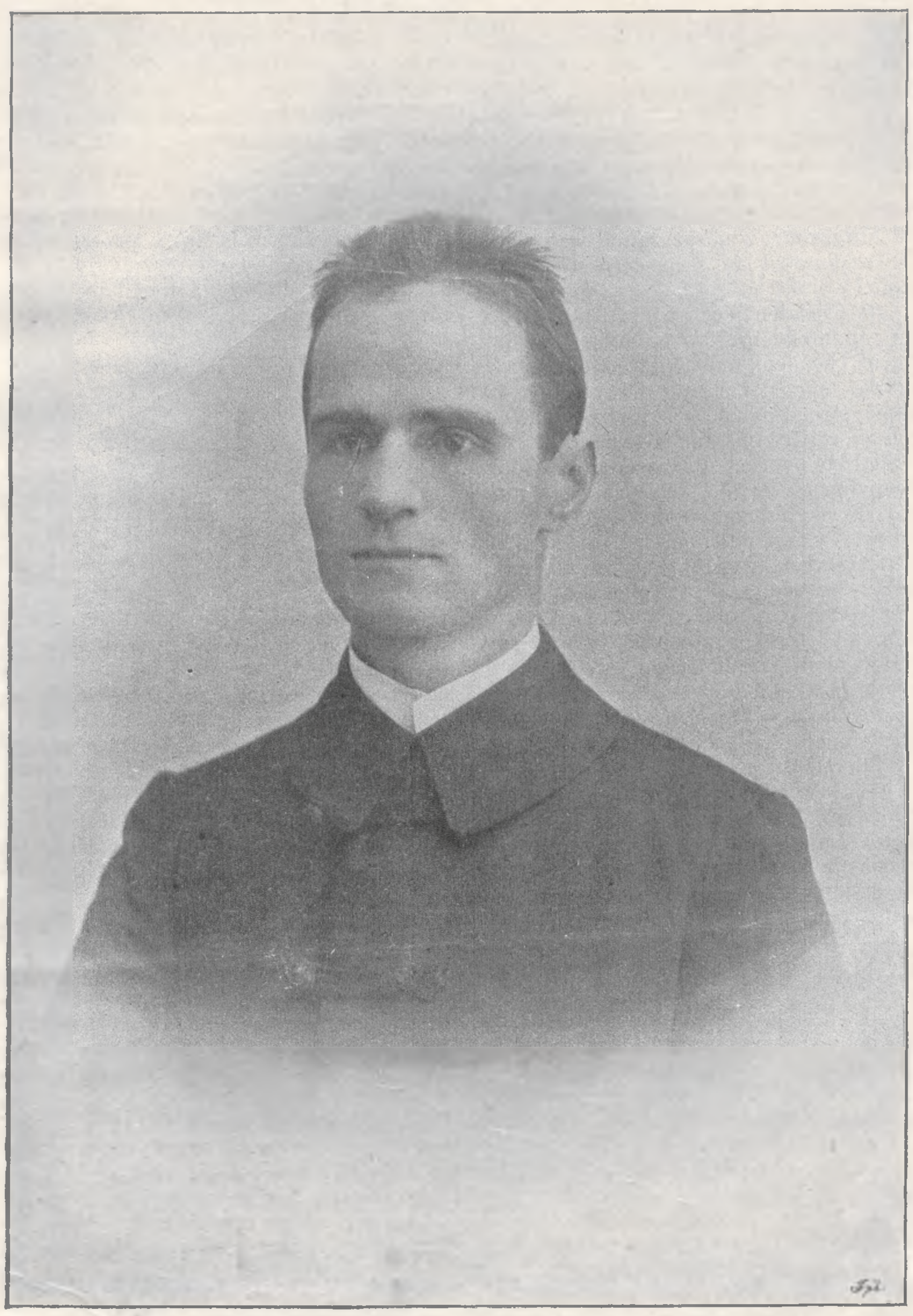
Trzeba przyznać, że opera warszawska dołożyła wszelkich starań, aby godnie uczcić ten niezwykły, a wzruszający jubileusz. Oba przedstawienia „Halki“ (jedno popołudniowe, drugie wieczorne) mogą być śmiało zaliczone do rzędu wzorowych, gdyż zarówno soliści, jak chóry i inscenizacya dały arcydziełu Moniuszki nową zupełnie szatę, tak cudną, o jakiej pewnie nie marzył twórca polskiej opery. Poprzedził je okolicznościowy prolog, pomysłu reżysera opery, p. Chodakowskiego, z podkładem muzyki, zaczerpniętej z dziewięciu partycyj Moniuszkowskich, wykonywanych na scenie warszawskiej, dobranej i w jednolitą całość połączonej przez dyrektora, E. Młynarskiego.

Na tęczowem tle fantastycznej dekoracyi, otoczone kwiatami i zielenią, wznosiło się wielkie popiersie Stan. Moniuszki, pod zawieszoną w przestrzeni cyfrą 500, uplecioną z żółtych kłosów, wraz z różnobarwnem kwieciem naszych pól, świeżem i miłem, jak melodye wielkiego kompozytora. Przy podniesieniu kurtyny w orkiestrze zabrzmiały pełne ognistego zacięcia dźwięki dobrze znanej z „Hrabiny“ pieśni: „A gdy nam się pora zdarza“, ustępujące wkrótce miejsca uroczej melodyi polonezowej „Pana Chorążego“, przy której odgłosie poczęły zwolna ukazywać się na scenie postacie z pierwszej grupy operowej: „Hrabina“ — Kazimierz, Bronia, Chorąży, Podczaszyc, Hrabina i grono gości tejże zbliżają się wśród uroczystej ciszy do podobizny mistrza, mężczyźni obnażają głowy, a wszyscy kolejno składają gałęzie palmowe u stóp postumentu popiersia, w drugiej ręce trzymając wieńce z wawrzynu, ze wstęgami, noszącemi napis: **„Halka“ — 500**; obchodzą wokoło scenę i ustawiają się w półkole. W jednakowym nastroju poważnie kroczą w równych odstępach, przybywając to z jednej, to z drugiej strony, grupy z innych oper, z udziałem zarówno wszystkich solistów Teatru Wielkiego, całkowitego chóru, jak i licznych statystów z baletu.

Ukazaniu się Franka, Zosi i Fryzyerczyka, wraz z grupą ludu podmiejskiego, towarzyszą dźwięki popularnej melodyi z „Flisa“. Polonez „Dam ci ptaszka, jakich mało“ rozlega się wraz z przybyciem p. Marcina, Łagody, Stacha, Zuzi i żniwiarzy z „Verbum nobile“.

Szeroka melodya z duetu z „Paryi“ i malownicza grupa Hindusów uprzytomniają w pamięci starych bywalców, od lat wielu będącą w zupełnem zapomnieniu partycyę. Cudowny kurant i pieśń Stefana podkreślają dobitnie zjawienie się wszystkich niemal postaci głównych ze „Strasznego dworu“. Odgłos fujarki i poetyczność melodyi pasterskiej stają się echem odtworzonej w „Beacie“ sielanki, którą uplastyczniają postaci Maksa, Beaty, Anglika i górali. Huczne dźwięki muzyki cygańskiej, przemieniające się natychmiast w rytmy krakowiaka, służą za wyjście Jawnuty, Chichy cyganki, Stacha, oraz ich towarzyszy. Mistyczne „tremolando“ ze wstępu do „Widm“, oraz interwały odpowiednie słowom zaklęcia „a kysz, a kysz!“ rozlegają następnie przy ukazaniu się Guślarza, aniołków, Zosi i ludu wiejskiego. Wreszcie przy

Pierwsze kandydatury narodowo-antysemickie.



Ks. Andrzej Szponder, były poseł do Rady państwa, kandydat z IV. kuryi Wadowice-Myślenice.

Do dzisiejszego numeru dodajemy cennik księgarni D. E. Friedleina w Krakowie.

dźwiękach pierwszego poloneza z „Halki“ przybywa liczne grono szlachty, prowadzonej przez Dziembę i Stolnika; a gdy w orkiestrze odzywa się piękna melodya „Gdyby rannem słonkiem“, zjawia się ostatnia para — Halka z Jontkiem.

Wszyscy podchodzą wówczas bliżej środka, podkład orkiestry na inną, o odmiennym charakterze przechodzi nutę, i zebrani na scenie artyści z chórem przystępują do odśpiewania porywającej serenady z „Verbum nobile“, do której ułożył tekst okolicznościowy dyrektor P. Maszyński. Wraz z ostatnią nutą cudnej melodyi zwracają się wszyscy do popiersia i składają u stóp Moniuszki swoje wieńce z warzynu.

Wspaniała, wzruszająca do łez ta chwila uroczysta nie da się opisać słowami. Wrażenie nadzwyczaj silne opanowuje wszystkich bez wyjątku widzów.

Publiczność cała powstaje ze swych miejsc, i wśród burzy oklasków i brawa padają ze wszech stron sali na scenę wieńce, bukiety, wiązanki kwiatowe, które artyści zbierając noszą pod stopy podobiznz Moniuszki, podczas kiedy z góry sceny spada na posąg obfity deszcz z kwiatów i liści świeżych.

Owacya ta doprowadza do powtórzenia całkowitej „Serenady“ i wznawia się po ukończeniu tejże po raz wtóry.

W uczczeniu pamięci Moniuszki brali czynny udział i przdbywający w Warszawie artyści opery włoskiej, którzy z pp.: Podesti'm, Battistini'm i Sillich'em na czele, stawili się w komplecie, pośród grup na scenie, ubrani we frakach (panie Carotini i Huguet w strojach balowych) i składają też swoje wieńce wraz z artystami miejscowymi.

Wreszcie zapuszczono kurtynę, umilkła muzyka, lecz burzliwe oklaski nie cichły ani na chwilę. Dopiero gdy kapelmistrz zasiadłszy na swojem krześle dał znak orkiestrze uczyniło się znów cicho i wszyscy poczęli wsłuchiwać się w cudne tony tak dobrze znanej lecz zawsze jednakowo pięknej opery.

Wykonanie było na obu przedstawieniach wspaniałe. — Halkę śpiewały pp. Kruszelnicka i Korolewicz, Jontka pp. Sienkiewicz i Floryański, Stolnika w obu p. Józef Chodakowski, specyalista do kontuszowych postaci, Janusza pp. Górski i Grąbczewski, Zofię pp. Lewicka i Bogucka. Największe jednak wrażenie zrobiły na publiczności sceny zbiorowe, o których wspaniałe wyreżyserowanie postarał się p. Chodakowski. Cudowne kostymy i dekoracye przyczyniły się również do uświetlenia całości, rozwijającej się wspaniale przed wzrokiem olśnionych widzów.

Publiczność wychodziła z teatru pod potężnem rozrzewniającem wrażeniem; każdy czuł iż ten jubileusz miał oprócz cech święta muzycznego, także charakter uroczystości narodowej, że był on wspaniałą manifestacyą żywotności polskiego ducha, zaklętego przez Moniuszkę w czyste kontury szlachetnej melodyi.....

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi rozproszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało...

W. Ł.

Z cyklu:

„Do cieniów matki“.

IV.

Z rozmyślań.

„Wszystko mi dałeś — co dać mogłeś Panie!“
Świadomość straszną wieczności bez kresu,
Niedolę życia, głuche piersi łkanie;
W duszę wsączyłeś gorycz aloesu
I rozwidniłeś mi drogę gromami,
Bym czuł mą nicość — i zalał się łzami.

Dałeś szmat nędzny królewskiej purpury
I czoło dumnie wzniesione nad inne;
Nad głową niebios rozpiąłeś lazury,
A pod stopami mórz szmaragdy płynne;
Wszechświatów we mnie wrzeźbiłeś odbicie
A na ostatku dałeś ducha — życie...

Wszystko mi dałeś! Dałeś upojenia,
Które kroplami sączyły się w duszę
A za to morze goryczy, zwątpienia.
Dałeś moc zwycięstw w życia zawierusze
I cień wszechmocy w śmiertelną źrenicę
I światło myślom — a sercu tęsknicę.

Duszę rozpiąłeś, jako struny harfy,
Pomiędzy ziemią a nieba błękitem;
A w struny wplotłeś piorunowe szarfy,
Abym nie gonił za szczęścia dosytem.
I duchem wstrząsasz jak wiatr marną trzciną:
Dlatego smutny — i z oczu łzy płyną.

Chciałbym odlecieć na te gwiazdy złote,
Gdzie duch mój powstał i życia zaranie;
Za niemi czuję bezbrzeżną tęsknotę
I klątwą cięży mi z raju wygnanie.
Za śmiercią tęsknię, za ziemskim niebytem
Za Tobą Panie — i za szczęścia świtem.

Tam będę cichy, jako one światła,
Które z dusz jasnych utworzyłeś Boże,
A które blaski swe rzucają na tła
Szmaragdów ziemi i na głuche morze,
I złote tęcze Ci kładą pod stopy....
Tam cichy będę — jak błękitów stropy.

Więc daj mi wszystko — co dać możesz Boże!
Pozwól rozpłynąć się w Swojej istocie,
Duszy ulecieć w purpurowe zorze,
Odetchnąć w świetle i w fal jego złocie!
Daj mi więc życie wielkie, święte, ciche,
A zabij dumę, cierpienie i pychę!

Michał Magiera.

Oddział Nr. 6.

opowiadanie dla inteligentnej publiczności

Antoniego R. Czechowa.

(Ciąg dalszy.)

- Przeciwnie, pan przepięknie analizuje.

— Stoicy, których pan parodyujesz, byli ciekawi ludzie; ale nauka ich, głoszona dwa tysiące lat temu, do dziś dnia nic nie postąpiła naprzód i nie będzie postępować, bo nie jest praktyczna i nie ma zastosowania w codziennem życiu. Ona miała racyę bytu u niewielu tych, którzy całe swe życie studyowali i smakowali w naukach, większość nie zrozumiała jej. Nauka o znikomości bogactw i rozkoszy życia, zahartowanie na cierpienia i śmierć dla większości zupełnie niezrozumiała, bo ta większość nie ma ni bogactw, ni rozkoszy, a znieczulać cierpienia, znaczy dla nich znieczulać i tak bezbarwne życie, dlatego, że cały organizm ludzki składa się z cierpienia, głodu, chłodu, nędzy i Hamletowego strachu przed śmiercią. Wszak to treść życia, tem można walczyć, to można nienawidzieć, ale nie unicestwiać. Tak, powtarzam, nauka stoików nigdy nie może mieć przyszłości. I, jak pan widzi, od początku wieku do dziś dnia wre walka, czułostkowość w bólu i sposobność odpowiedzi na rozdrażnienie jest i będzie...

Jan Dmitricz naraz zgubił wątek myśli, zastanowił się i niecierpliwie potarł czoło.

— Chciałem coś ważnego powiedzieć, ale zapomniałem... o czem to?.. a tak! O, to chciałem mówić, że ktoś tam ze stoików sprzedał się do niewoli, aby wykupić swego bliźniego. Widzisz pan, to znaczy, że i stoik ma pewną czułostkowość, bo przecież to wielkoduszny fakt. Ażeby zaprzedawać siebie za kogo innego, do tego trzeba wielkiej i czującej duszy. Ja zapomniałem w tem więzieniu o wszystkiem, czegom się uczył, a tak jeszcze czasem coś pamiętam. Np. Chrystus! Chrystus odpowiadał na zarzuty tem, że płakał, smucił się, nawet gniewał. On nie ze śmiechem szedł naprzeciw cierpieniom i nie lekceważył śmierci, a modlił się w Ogrojcu, żeby kielich goryczy miał siłę spełnić do dna.

Jan Dmitricz, śmiejąc się, usiadł.

— A przecież spokój i zadowolenie człowieka nie przy nim, ale wewnątrz jego. Dajmy na to, trzeba znieczulać cierpienia i nie dziwić się niczemu. Ale na jakiej podstawie twierdzisz pan tak? Jesteś pan mędrcem? filozofem?

— Nie, ani tym, ani tamtym, ale mówić to powinien każdy, bo to jest logiczne.

— Nie, ja chcę wiedzieć, dlaczego w tem wyrozumieniu na cierpienie uważasz się pan za kompetentnego? Czyż nie cierpiałeś nigdy? Czy masz pojęcie o cierpieniach? Przepraszam, ale czy pana w dzieciństwie bili?

— Nie, rodzice moi nie stosowali kar cielesnych.

— A mnie ojciec katował. Mój ojciec był to krępy, żółciowy urzędnik, z długim nosem i żółtą szyją. Ale mówmy o panu. Przez całe życie nikt was nigdy nie trącił palcem, nikt was nie uderzył? Zdrów pan jesteś, jak byk. Rosłeś pod skrzydłem rodziców i na ich rachunek kształciłeś się. Więcej, niż dwadzieścia lat żyłeś, mając bezpłatne mieszkanie, z opałem, światłem, usługą, mając przytem możność pracy, jak i ile potrzeba, a nawet nic nie robić. Z natury jesteś człowiekiem leniwym, powolnym, i dlatego starałeś się swoje życie unormować tak, aby go nic nie mięszało i nie niepokoiło. Robotę zwaliłeś na felczera i inną hołotę, a sam siedziałeś w cieple, w ciszy, składałeś pieniądze, książki czytając, i zabawiałeś się głupstwami, lub trunkiem. (Jan Dmitricz spojrzał na czerwony nos doktora). Jednem słowem, życia wy nie znacie, lecz doprawdy, tylko teoretycznie. Uśmierzasz cierpienia; nie dziwisz się niczemu z najprostszej przyczyny. Marność marności, zewnętrzne i wewnętrzne lekceważenie cierpienia, śmierci, wyrozumiałość istotne szczęście, wszystko to — filozofia, odpowiednia bardzo dla rosyjskiego próżniaka. Widzicie np., jak chłop bije żonę. Dlaczego bronić? niech bije — wszystko jedno, oboje przecież, wcześniej, czy później, umrą, a bijący nie obraża tego, kogo bije, ale siebie. Upija się, głupio, nie wypada; pije, umiera i tak; nie pije, także umiera. Przychodzi baba, zęby ją bolą... dlaczego? ból jest tylko wyobrażeniem bólu, a ponieważ bez tego wyobrażenia nie możesz żyć na świecie, zmykaj więc, babo, do domu, a mnie nie przeszkadzaj filozofować i pić wódkę. Młody człowiek pyta o radę, jak ma żyć? Nim odpowiesz, pomyśl, ale i tak możesz mówić: staraj się zrozumieć istotne szczęście. A co znaczy to fantastyczne, „istotne szczęście?“ Odpowiedzi nie ma, niepotrzebna. Nas trzymają tu za kratami, gonią, wiążą, bo to przepięknie, rozumnie, dlatego, że między tym pokojem, a ciepłym, jasnym gabinetem, nie ma żadnej różnicy. Wygodna filozofia! Cóż robić? wobec tego za mędrca uważać się można. Nie, panie, to nie filozofia, nie analiza, nie szerokość poglądów, ale próżniactwo, oszukaństwo i jakieś senne odurzenie. Tak! — zawołał rozgniewany Jan Dmitricz. — Cierpienia uśmierzacie, a przyciśnij pan palec we drzwiach, to krzykniesz na całe gardło.

— A może nie krzyknę — odpowiedział doktor.

— Oj, krzykniesz. A gdybyś pan został sparaliżowany, albo jakikolwiek dureń, korzystając z waszego niejasnego np. stanowiska, oskarżył was publicznie i nie wiedziałbyś pan, czy cię puszczą na wolność, no, wtedy zrozumiałbyś, doktorze, co to jest odsyłać drugich do rozumowania o duchowem szczęściu.

— Oryginalne — śmiejąc się i zacierając ręce z zadowolenia, rzekł Andrzej Efimycz. — Ogromnie przyjemnie lubię słuchać waszych poglądów, a moja charakterystyka, jaką przed chwilą pan skreśliłeś, przewyborna! Muszę przyznać, że rozmowa taka jest mi niezmiernie miła. Ja was wysłuchałem, a teraz zechciejcie mnie posłuchać... (D. c. n.).

Tłóm. Bronisława Jeremi.

Walka z malaryą.

Przyczyną szerzenia się malaryi we Włoszech jest według zdania prof. Kocha mucha zwana *Anopheles*, roznosząca zapomocą ukąszeń zarazki tej strasznej choroby. Uczony niemiecki doszedł do tego przekonania na podstawie kilkumiesięcznych studów nabywanych w zeszłym roku koło Civitá Vecchia i Livorno; obecnie prof. B. Grassiemu z Rzymu, zawdzięcza piękna Italia pierwsze próby walczenia z malaryą w okolicach uchodzących za ognisko tego wroga włoskiej ludności, na świeżo zbudowanej linii kolejowej Salerno — Battipaglia — Pizzo — Reggio — Calabria. Rzeki spływające ze stoków górskich sączą tam leniwo swe wody ku morzu, zmieniając doliny w olbrzymie bagna, gniazdo jadowitych komarów, a dolina Seli uchodzi od wieków za miejsce wprost niebezpieczne dla życia ludzkiego. To też dyrekcya „Rete ferroviaria mediterranea“ (kolei morza śródziemnego) zbudowawszy po długoletniem wahaniu się linię kolejową wzdłuż tego malarycznego wybrzeża, była w rozpaczy, gdyż wszyscy jej urzędnicy po krótkim tamże pobycie zapadali na malaryą, która zabierała ze świata ze świata olbrzymi ich procent po długich a strasznych cierpieniach. Nie pomagało sprowadzanie wody i mięsa z dalekich nienawiedzonych epidemią miejscowości, nie na wiele się również zdało przenoszenie tych urzędników, którzy już zapadli na malaryę, w inne, zdrowe okolice. Kto raz się zaraził, był już tak dobrze jak zgubiony.

B. Grassi ujął całą rzecz z praktycznej strony i doszedłszy do przekonania, że roznosicielami zgubnych chorobotwórczych zarazków są komary należące do osobnego gatunku, poczynił zarządzenia celem ochrony urzędników kolejowych przed ukąszeniami, a temsamem przed zarazą. Rodziny wszystkich urzędników kolejowych, którzy mieszkają na linii Battipaglia-Cappacio zostały zaopatrzone w przyrządy ochronne, składające się z delikatnych siatek drucianych; te siatki wkładano w otwory wszystkich dworców kolei, budek dróżniczych i magazynów zamieszkałych lub uczęszczanych przez ludzi. W ten sposób z mieszkań porobiły się fortece silnie obwarowane przeciw atakom długonogiego a cienkoskrzydłego nieprzyjaciela, który zwykł swoje ataki przypuszczać nocną porą, w czasie gdy ofiary jego są pogrążone we śnie. Przez dzień nosili urzędnicy i członkowie ich rodzin (razem 104 osób, w tem 33 dzieci poniżej 10 lat) zasłony tiulowe na twarz i szyję oraz grube rękawice celem ochrony przed ukąszeniami. Ktokolwiek czuł się niezdrów, lub miał na sobie ślady ukłucia komarów, otrzymywał natychmiast potężną dozę chininy i musiał wystrzegać się ukąszeń z podwójną ostrożnością. W tym celu zwalniano go nawet na jakiś czas od służby, jeżeli był urzędnikiem.

Dzięki powyższym środkom ostrożności zaledwie trzy osoby (z ogólnej liczby 104) zapadło na malaryę, a i te nawet, jak to z całą pewnością stwierdzono, nie zachowywały ściśle przepisów, podczas gdy dokoła ludzie chorowali masami. Np. z 25 osób mieszkających w domku dróżnika leżącym na granicy „pola doświadczalnego dla walki z malaryą“ ani jedna nie została zdrową, a w sąsiedniej wsi położonej na pagórkach, czyli na znacznie zdrowotniejszym terenie, tylko 4 mieszkańców z ogólnej liczby 215 nie zachorowało na malerye.

W ten sposób pierwsze próby na tem polu zostały uwieńczone znakomitym rezultatem, a B. Grassi i pomocnik jego E. Blessich mają nadzieję, iż za pomocą dalszego stosowania tych środków uda im się pokonać tę straszną chorobę, która w samych Włoszech porywa co roku 16.000 ofiar! Wykorzenienie malaryi jest wszakże kwestyą olbrzymiego nietylko zdrowotnego lecz i ekonomicznego znaczenia, gdyż najżyźniejsze okolice w prowincyi rzymskiej, w Toskanii, Basilicata, Puglia w Kalabryi, na Sycylii i Sardynii, stojące obecnie pustką z powodu panującej tam epidemii, będą mogły przy stosowaniu odpowiednich zarządzeń służyć za mieszkanie ludziom, którzy nie bojąc się zarazy, osuszą bagna, zniszczą w ten sposób ogniska malaryi i zdobędą na nowo obszary gruntu słynące przed tysiącem lat ze swej urodzajności, a wydarte pracowitym dłoniom rolników przez widmo choroby i rychłego zgonu.

Michał Dymitrowicz Gorczakow.

Przed kilkoma dniami wyszła nakładem Spółki wydawniczej krakowskiej niezmiernie sensacyjna książka. Są to Mikołaja Wasyljewicza Berga „Zapiski o powstaniu polskiem“ przełożone z rosyjskiego oryginału, wydanego kosztem rządu, a następnie przez cenzurę zniszczonego. Ostatnie powstanie polskie znalazło w Bergu bezstronnego historyografa, który rozporządzał bogatszym niż ktokolwiek inny materyałem, bo stały mu na rozporządzenie wszystkie tajne źródła rosyjskie. Książka ta będzie skwapliwie u nas czytana, zwłaszcza, że napisana jest znakomitem piórem; żywo i barwnie przedstawia krwawe, a tak nam blizkie i drogie choć bolesne wypadki. Zanim podamy bliższy rozbiór tej książki, wyjmujemy z niej rozpoczynającą dzieło charakterystykę człowieka, którego wybuch powstania zastał u steru władzy w zamku królów polskich w Warszawie.

I.

Nadszedł rok 1856. Dnia 20. stycznia o godzinie 9 rano zakończył życie człowiek, który mimo swych strasznych wad był najlepszym i najpoważniejszym wielkorządcą, jakich Rosya aż do chwili obecnej Polsce dała.

Na razie zastąpił go jenerał Wincenty hrabia Krasiński, lecz gdy wskutek tego zaczęło powszechnie mówić o radykalnej zmianie systemu rządowego w Polsce, i gdy nadto sam jenerał zbyt gorączkowo zadarł na wstępie z kilku administracyjnymi tuzami, szczególnie zaś z Muchanowem, pełniącym obowiązki kuratora warszawskiego naukowego okręgu, zaczęto szukać namiestnika w gronie starszych jenerałów, rodowitych Rosyan.

Bardzo naturalnie, że przedewszystkiem zwrócono w Petersburgu uwagę na wodza armii południowej w Krymie, księcia Michała Dymitrowicza Gorczakowa, który przez lat dwadzieścia zajmował przy Paskiewiczu różne wyższe stanowiska i powinien był znać dobrze stosunki miejscowe.

Mógł także i ten wzgląd zaważyć, że chciano grzecznie usunąć z dowództwa przestarzałego jenerała, i wybrano dlań odpowiedniejsze, pokojowe stanowisko,

ani przewidując, że wysyłają go do drugiego Sewastopola, gdzie się znajdą bateryе nie mniej niebezpieczne, jak francuskie i angielskiego w Krymie.

Przedewszystkiem warto jest poznać przeszłość tego człowieka, który mimo braku wybitnych zdolności, wskutek zbiegu fatalnych okoliczności bywał stawiany na takie ważne i dziejowej doniosłości stanowiska, że stał się do pewnego stopnia wybitną osobistością, a przynajmniej taką, której nie można ominąć, omawiając wypadki owej epoki.

Większość Gorczakowych, pochodząc z rodziny wcale niezamożnej, potrzebowała w służbie rządowej szukać środków utrzymania i dalszej krescytywy. Do takich zaliczał się i urodzony w 1792 roku książe Michał.

Ojciec jego, książę Dymitr Piotrowicz, był człowiekiem wykształconym, zajmował się literaturą i należał do rosyjskiej akademii nauk w Petersburgu. Z pod pióra jego wychodziły satyry, komedye, powieści, opery i przysłowia. Dzieciom dał staranne wychowanie, zwracając szczególniejszą uwagę na dokładną znajomość języka i literatury francuskiej. Książę Michał znał wszakże dokładnie także języki: niemiecki i rosyjski, i naśladując ojca pisywał rosyjskie wiersze.

W 1807 roku zaciągnął się jako junkier do gwardyi artyleryi i mając zaledwie lat piętnaście, w tym samym jeszcze roku awansował na oficera. Fundusze jego podówczas tak były szczupłe, że kolegując ze swym bratem, księciem Piotrem, późniejszym jenerał-gubernatorem zachodniej Syberyi, w tej samej bateryi, mieli na dwóch jedną parę paradnych butów.

W czasie wojen napoleońskich książę Michał znalazł się w czynnej armii i stawał odważnie w wielu bitwach. W roku 1815 już w stopniu sztabs-kapitana zostaje adjutantem jenerał-porucznika barona Dybicza, szefa sztabu pierwszej armii. W 1817 roku jest pułkownikiem kwatermistrzowstwa w świcie jego cesarskiej mości (dzisiejszy sztab główny), a po trzech latach w roku 1820 zamianowany szefem sztabu trzeciego korpusu piechoty, bierze udział w wojnie tureckiej w latach 1828 i 1829 w stopniu jenerał-majora.

Był to wątły i niezgrabny młody człowiek, szczupły, z płaską, mongolską twarzą, bez żadnego wyrazu, o wąskich mongolskich oczach z opadającemi powiekami, wskutek czego, chcąc coś widzieć dokładniej, bywał zmuszony do niezgrabnego zadzierania głowy. Z wiekiem coraz bardziej tracił siłę wzroku i bardzo wcześnie zaczął się posługiwać okularami. W ogóle, pomimo dokładnych starań, nigdy nie nabrał wojskowej fizyognomii.

Cudzoziemskie wychowanie, nieustanna francuszczyzna i w ogóle jakieś szczególniejsze upodobanie do wszystkiego, co tylko nosiło na sobie piętno francuskie, uniemożliwiało zbliżenie się Gorczakowa z prostymi rosyjskimi wiarusami, umiejącymi mówić tylko swym rodowitym językiem. On nietylko uważał ich za gburów i nieuków, lecz jeszcze gardził nimi jako plebejuszami. Biada takiemu prostaczkowi, jeżeli się przy pierwszem spotkaniu nie potrafił zdobyć na jaki taki frazes francuski, książę bywał wprost grubiański, nawet bardzo grubiański. Lecz jeśli przy pomocy bliższych a znających słabość księcia francuszczyzna poszła zwinnie, ucho księcia stawało się mniej wybredne i plebejusz mógł usłyszeć także z ust dostojnych parę łaskawych wyrazów, wypowiedzianych klasyczną francuszczyzną. Tak opowiada radca tajny Kazaczkowski, dyrektor kancelaryi namiestnika, który przed przedstawieniem księciu świeżo przybyłego urzędnika zwykł był zalecać, by tenże przemówił coś po francusku, gdyż wtedy przedstawienie pójdzie gładko.

Nic więc dziwnego, że wojsko i przeważna część oficerów, nie lubiła niedostępnego i zfrancuziałego arystokraty. — Gorczaków był najniepopularniejszą osobistością w wojsku. Ci co potrzebowali, musieli znosić wszystko, nawet wynajdywali w nim niebywałe zalety; lecz ludzie chociaż cośkolwiek niezawiśli, uważali go wprost za trutnia sztabowego, za oficera, który, gdyby nawet posiadał jakie wojskowe wiadomości, nie potrafił nigdy dojść do zrozumienia tych zasadniczych warunków i właściwości służby wojskowej, ani też poznać potrzeb żołnierzy i oficerów, gdyż przez cały czas swej służby nie dowodził żadnym oddziałem wojska, jak: kompania, batalion lub pułk. Znający go doskonale, były jego szef sztabu a później namiestnik Królewstwa Polskiego, E. Kotzebue, opowiadał autorowi, że w zimie 1853 roku, gdy jechali razem do Bukaresztu, a Gorczaków, jak to miał zwyczaj, mruczał coś sobie pod nosem, naraz się odezwał głośno: *Savez vous mon cher; je suis assez intelligent; j'ai étudié l'artillerie, la stratégie, le genie... mais j'ai fait des fautes à cause de n'avoir jamais commendé... C'est vrai, mon Prince* — odpowiedział Kotzebue. — (Spisano dosłownie).

To też podawane na radach wojennych wnioski i plany księcia Gorczakowa, wywoływały u ludzi fachowych a niezawisłych śmiech i żarty. Mimo to Gorczaków zawsze był jak najlepszego rozumienia o swych wojskowych zdolnościach i uważał, że wojskowa karyera najbardziej dlań jest odpowiednią, i w tem przekonaniu przy każdej sposobności narzucał się ze swymi planami bitew i poruszeń wojskowych, napraszał się o najtrudniejsze i niebezpieczne poruczenia.

W połowie czerwca 1829 roku trzeci korpus zajął Sylistryę i ztamtąd wyruszył pod Szumlę, celem osaczenia tej fortecy, i ułatwienia dwom innym korpusom wyprawy za Bałkany po bitwie pod Kulewczynem. W lipcu postanowiono zdobyć szturmem główny, przodowy szaniec, z zamiarem usadowienia się w nim silnie i połączenia przez to głównych swych sił z prawem skrzydłem wojsk blokujących Szumlę. — Gorczaków ułożył plan ataku, lecz wskutek zwykłego wahania się i braku stanowczości, pisząc i poprawiając bez końca, przewidując i uwzględniając wszelkie możliwe i niemożliwe zajścia i okoliczności, stworzył taką gmatwaninę, że gdy wysłane oddziały zaczęły wypełniać otrzymane rozkazy, nastąpiło takie zamieszanie, że Turcy szturm odparli i omal że nie zdobyli kilku rosyjskich linij. W boju tym polegli: pułkownik Zełtuchin i major Rymski-Korsaków, dowódcy wysłanych oddziałów. — Porażka ta wywołała w całym korpusie szemranie, wszyscy głośno przypisywali doznaną porażkę niezdarności szefa sztabu i jego planom. Jego też obwiniono o nieporządki i brak czujności w okopach oblężniczych, które wskutek tego tylko co się niedostały w moc nieprzyjaciela.

Nie zważając na to, w jakiś czas potem, temuż samemu Gorczakowi polecono wyprawę w góry dla zapewnienia połączenia z armią zabałkańską. I w tym wypadku, pomimo bardzo mądrze skombinowanych planów, został pobity na głowę i sromotnie przepędzony.

Tak opowiadają ówcześni towarzysze broni księcia Gorczakowa. Oficyalna historya, jak zwykle, przemilcza i nie wypowiada żadnej krytyki nad działaniami wyższych osobistości: dowódzców korpusu, szefów sztabu, szczególniej, jeżeli to byli książęta lub hrabiowie, cieszący się protekcyą sfer petersburgskich. Główny dziejopis tej wojny N. J. Uszaków, zawisły przez całe życie od księcia Gorczakowa, nie śmiał wypowiedzieć nic niepochlebnego. Ale nawet i teraz potrzeba posiadać sporą dozę cywilnej odwagi, ażeby wystąpić publicznie z całą szczerością ze swem zdaniem o rosyjskich jenerałach. Autor miewał z tego powodu różne przeprawy z jenerałami. Łajano go prawie. Zresztą byli to tylko wojskowi jenerałowie, z cywilnych jenerałów jeszcze go żaden nie złajał.

Ponownie zaczęto mówić o niezdarności Gorczakowa i ponownie wszyscy na niego wyrzekali.

Przez cały czas wojny, szczęście nawet wypadkiem, ani na chwilę nie uśmiechnęło się temu człowiekowi. Wojskowi uważali go za zupełnego niezdarę, pobłażliwsi dowodzili, że książe ma tylko nieszczęśliwą rękę. Wszakże w długim, bardzo długim formularzu służbowym księcia, wszystkie te zawody i błędy zostały pokryte różnymi górnolotnymi frazesami z dodatkiem, że po zawarciu pokoju książe „za wzorowe męstwo, okazane przy przeprawie przez Dunaj, za szczególniejszą odwagę i skuteczne prowadzenie robót oblężniczych pod Silistryą“, i za takąż odwagę i działalność w bitwach pod Szumlą, został zaszczycony orderami: św. Jerzego, św. Włodzimierza drugiego stopnia i wielkim krzyżem św. Anny, oraz otrzymał złotą szpadę, osypaną brylantami z napisem „za męstwo.“ Nadto został jenerał-adjutantem, a 1830 roku po wybuchu powstania w Polsce, został szefem sztabu pierwszego korpusu piechoty, i jako taki odbył całą kampanię 1831 roku. Tutaj zdobył nowe wawrzyny, uwidocznione orderem św. Aleksandra Newskiego i nadaniem 12-letniej dzierżawy o 2000 rubli srebrnych rocznego dochodu.

Wojenny dyktator Paskiewicz, rozpoczynając swe długoletnie rządy nad uspokojoną Polską, przez dłuższy czas nie mógł sobie dobrać odpowiedniego szefa sztabu. Ludzie nadający się na to stanowisko, o ile tylko byli obdarzeni jakiem takiem poczuciem własnej godności, unikali tego zaszczytu i woleli szukać krescytywy w samej Rosyi.

Wzrok „jego swietlości“ zatrzymał się wreszcie na księciu Gorczakowie. Paskiewicz wiedział doskonale, że Gorczaków nie posiadał odpowiednich zdolności dla tak ważnego stanowiska, że zanadto troszczy się o drobiazgi, że nie zdecydowany i roztargniony, że zabałamuci i jenerała i dyżurnego i innych swych podwładnych oficerów, zamęczy ich niekończącem się nigdy przerabianiem i przepisywaniem referatów, które musiały przechodzić przez jego ręce, jako szefa głównego sztabu, ale wiedział także, że wybraniec jego, o ile jest niezdecydowany i roztargniony, o tyle, a może jeszcze bardziej, nie odważy się głosu podnieść wobec każdego przełożonego; że jest uosobioną cierpliwością i milczeniem, potrafi jak nikt inny w danej chwili unicestwić się prawie. Takie przymioty w człowieku zbliżonym, którego codziennie się widzi i co chwila z nim styka, dla samowładnego dyktatora były rzeczą pożądaną i prawie niezbędną, a zresztą Paskiewicz zawsze się uważał za rzeczywistego swego szefa sztabu i czuł, że w każdej chwili, gdyby nominalny szef sztabu wskutek braku decyzyi nie zrobił coś tak, jak potrzeba, on zaraz potrafi rzecz naprawić i na właściwą drogę skierować. Byłże przecież Gorczaków szefem sztabu trzeciego i pierwszego korpusu i to w czasach wojny, i sprawy szły i idą... jak wszędzie; nikt się nie skarżył i nie wyrzekał, owszem bezpośredni dowódzcy przedstawili księcia do nagród.

Radca tajny Czestilin, który z Gorczakowem przesłużył lat dwadzieścia i w końcu był dyrektorem jego kancelaryi, opowiadał autorowi, że pewnego razu Gorczaków dziewięć razy kazał zmieniać i przepisywać jakiś elaborat, w końcu zaś zapytał: „a masz pierwszy operat?“ — Jest mości książe! — „No to zostaw jak tam było!“

Setki takich historyjek możnaby przytoczyć. Dla przykładu podamy jeszcze jedną. W 1842 roku znany strategik, jenerał Jomini, został wysłany przez cara Mikołaja dla szczegółowego zbadania północno-zachodniej granicy i wybrania odpowiednich miejsc dla ufortyfikowania takowej, na Litwie i w Królestwie. Między innymi punktami miano ufortyfikować Grodno i Serock. Jomini przedewszystkiem przybył do Warszawy, dla porozumienia się w tej sprawie z feldmarszałkiem. Paskiewicz wśród wielu innych wojskowych rozrywek, urządził dla niego na zamku grę wojenną, mającą odtworzyć pewien epizod z wojny francusko-austryackiej z 1809 roku. Stroną zaczepną dowodził sam feldmarszałek, bronić się miał książe Gorczaków. Jenerałowie Jomini i hrabia Berg byli sędziami i świadkami walki, która trwała blisko dwa miesiące, gdyż grywano tylko raz na tydzień w gabinecie feldmarszałka. Obaj zapaśnicy mieli po kilku oficerów jeneralnego sztabu do pomocy. Pierwszych dni, gdy działano w oddaleniu, jedna strona wychodziła z pokoju, gdy druga ustawiała swoje figury, mające oznaczać różne oddziały wojska: pluton, kompanię, pułk, szwadron, bateryę i t. p. Gdy wracała, figury przeciwnika zakrywano papierem.

Jednego razu pomocnik Gorczakowa, kapitan Grossman zrobił uwagę, że należałoby przecież wskazany punkt obsadzić batalionem piechoty. Gorczaków natychmiast umieścił tam odpowiedni znaczek, lecz następnie, rozpatrując całą miejscowość, powiedział: „at! głupstwo, po co tam batalion?“ i zdjął znaczek. Zaproszono Paskiewicza, by już wszedł do pokoju. Ale Gorczaków ciągle z boku spoglądając z niepokojem na ów punkt wskazany, zatrzymuje feldmarszałka w progu, przepraszając i prosząc o chwilkę cierpliwości, gdyż ma zrobić jeszcze jedno poruszenie. Paskiewicz uśmiechając się, wrócił za drzwi, a Gorczaków postawił pospiesznie znak batalionowy w oznaczonym punkcie, i oświadczywszy feldmarszałkowi, że już gotów, miał się sam ku wychodowi. Widocznie wszakże coś go niepokoiło i szedł mrucząc pod nosem, naraz po raz drugi wstrzymuje Paskiewicza, podchodzi do stołu, zdejmuje znaczek, mówiąc: „co za głupstwo, po co tu wojsko, kto pójdzie tą drogą?“

Paskiewicz wróciwszy do gabinetu, chciał już zakląć jakiemś słówkiem, nie nadającem się do druku, lecz obecność obcego człowieka, francuza, sprawiła, że tylko przygryzł usta. Z tego szczegółu można osądzić, co za nieszczęśliwy był książę Gorczaków w rzeczywistym boju, wtedy, gdy, czuł na sobie cały ciężar od powiedzialności, i gdy nie można było nikogo poprosić na ustęp, dla poprawienia jakiegoś nieudałego poruszenia.

Jenerał hrabia Berg, w czasie tej gry ogromnie kręcił, zmniejszał odległości, podbierał znaki, byle ułatwić feldmarszałkowi wygraną, a przytem wciąż pokpiwał z Gorczakowa, tak, że się ten w końcu obraził i gry musiano zaniechać. Nieporozumienie między Gorczakowem a Bergiem trwało do roku 1843, w którym się pogodzili przy jednoczesnym awansie na jenerałów broni.

(C. d. n.)

PTAK PRZELOTNY.

Obrazek ludowy.

NAPISAŁ

Konstanty Krumłowski.

Nigdzie jej dobrze nie było. Nie miała szczęścia do ludzi i miejsca; pokutował w niej jakiś niespokojny duch, nie dozwalający jej nigdzie długo „miejsca zagrzać“.

Przyszła na świat w małej zadusznej chałupie komornika, a pierwszem powitaniem dzieciny były łzy jej matki i przekleństwo ojca, przy odpowiedniem pogardliwem splunięciu:

— *Znowu* dziewucha!

Tymczasem niepożądany gość, nie zdając sobie widocznie sprawy ze swego niewłaściwego położenia, napełnił całą chałupę krzykiem i piskiem, stwierdzającym aż nadto ostentacyjnie pretensye swe do życia i to z pominięciem wszystkich względów towarzysko-społecznych, z któremi ostatecznie każdy przyzwoity osobnik obowiązany jest liczyć się.

— Zła będzie! — zadecydowała obecna aktowi kuma.

— I gdzie *to to* się zmieści?.. już i tak ciasno w chałupie — utyskiwał ojciec, potrząsając głową nad stołem, gdzie stała flaszka z brudnawym płynem a przy niej denkiem odwrócony kieliszek.

Istotnie!.. trudno już było wybrać sobie niewłaściwszą chwilę do przyjścia na świat!

Pięcioro drobiazgu pozajmowało w chałupie możliwie jeszcze wolne kąty. Za piecem i pod piecem, na ławie przy ojcu i w łóżku przy matce — wszędzie wyglądały zwichrzone, brudno-żółte głowy — pięciokrotny dowód błogosławieństwa niebios, nielicząc wychudłego cielęcia plączącego się pod nogami.

Obdarowany tak hojnie od losu ojciec przenosił wzrok kolejno z jednego dziecka na drugie, jakby upatrywał przecież jakiego wolnego miejsca dla szóstego.

— Dziewucha! — mruczał do siebie kręcąc frasobliwie głową.

— Bóg dał, może Bóg i weźmie! — pocieszała kuma i niepytając nalała kieliszek i podsunęła pod nos strapionemu rodzicowi.

Chłop nasz jest z natury urodzony optymistą... Człowiek wychylił kieliszek i w milczeniu zwrócił go kobiecie. Nalała go powtórnie i podeszła do gospodyni domu.

— Kumo! łyknijta! łyknijta!.. Jak wam nie pomoże, to pewnikiem i nie zaszkodzi!

Ale „kuma“ o kieliszku ani słyszeć nie chciała, odwróciła się na drugi bok i stęknęła cicho.

Baba zwróciła się z miną doświadczonej lekarki do gospodarza.

— Z niej nic dobrego nie będzie! Pijta stary! — Nalała pełno, wychyliła, splunęła, nalała znowu i chłopu kieliszek w garść wetknęła.

Chłop siedział wciąż na ławie zgarbiony, wpatrzony w zakopconą lampkę u powały kiwając od czasu do czasu rozczochraną szpakowatą głową i powtarzał do siebie:

— Dziewucha! Dziewucha!

II.

Kuma miała racyę.

Gospodyni, postękawszy jeszcze kilka dni, zażądała przed wieczorem księdza, a na drugi dzień do południa, odświętnie już przybrana i w jedynych butach, pochodzących jeszcze ze ślubnej wyprawy — leżała żona Prusaka w trumnie, w głowach której paliły się duże woskowe świece.

Prusak — odpłakawszy swoje, uderzywszy kilka razy głową o ścianę aż tynk odpadał — dał się zawieść kumom i kumoszkom naprzód do karczmy, z karczmy pod ręce już — za trumną, a z cmentarza napowrót do karczmy.

Nie troszcząc się o dzieci, które z cmentarza późnym już wieczorem miłosierna jakaś znajoma nieboszczki do siebie zabrała — dał niepocieszony wdowiec folgę łzom i pragnieniu.

W kółku znajomych i znajomek pozwalał się żałować i pocieszać naprzemian, aż ukołysany żalem, wódką i przemowami — usnął.

Gdy nad ranem się zbudził, nie zastał już nikogo ze swych pocieszycieli — oprócz czarnego Chaskla, który z drwiącym uśmiechem, patrząc z góry na zmaltretowanego chłopa — odezwał się dobrotliwym tonem:

— Ny! gospodarzu! cobyście ta wiecznie beczeli, nieprzymierzający jak baba a nie człowiek!.. Zapłaćcie co się należy i idźcie spać do domu.

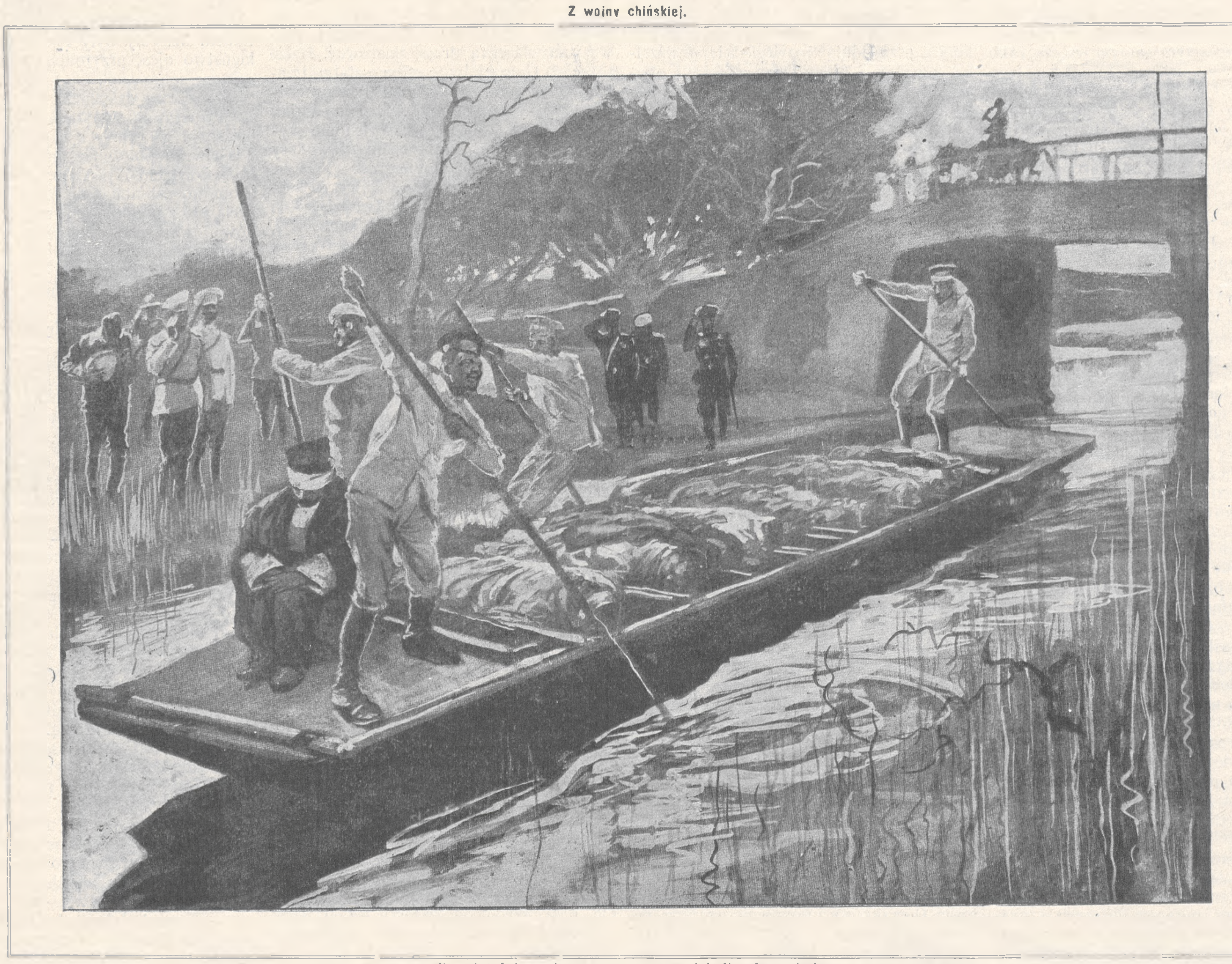
Żyd wymienił kwotę, chłop zapłacił bez targu, dziwiąc się tylko w duszy, że z całej dość pokaźnej gotówki, którą na stypę wziął ze sobą, zostało mu ledwie, ledwie na zapłacenie poczęstnego.

Ale nie żałował — nie!... Czegóżby chłop dla baby nieboszczki nie zrobił?

— Ona tam w niebie widzi, że nie żałowałem jej niczego za życia, toć i po jej śmierci tych parę centów mi nie żal.

Chłop nasz ma w naturze swojej dużo pietyzmu dla zmarłych...

Z wojny chińskiej.



Ranni żołnierze japońscy, przewożeni łódką do szpitala.

W chacie Prusaka przybyło po śmierci żony trochę miejsca — ubyło natomiast dwoje pracowitych rąk, których brak coraz to dotkliwiej chłopu odczuć się dawał.

I nie minęło pół roku, a była już nowa gospodyni u wdowca. Kobieta dobra i cicha, starsza od nieboszczki, umiała zarówno zaniedbane gospodarstwo jak niemniej zaniedbane czupryny sześciorga sierot powoli do ładu doprowadzić. Podobnie jak ona karmiła troskliwie wieprzka w chlewie i z równem zamiłowaniem przyrządzała „staremu“ żur z ziemniakami lub krupki „z omastą“ w niedzielę.

Widział i czuł co prawda Prusak różnicę w omaście, i nieraz z przyczyny krupek lub niedomaszczonych kartofli snuł smutne myśli na temat nieboszczki. Nieraz, łowiąc łyżką skąpe skwarki — gdy zwłaszcza natrafił na wyjątkowo większy okaz — obcierał rękawem oczy i westchnął o wieczny spoczynek dla nieodżałowanej Kundusi...

(Jak wiadomo chłop nasz zachowuje żywo pamięć zmarłych swoich.)

Po za tem jednak nie miał najmniejszego powodu uskarżać się na „drugą babę“. Dzieci ze sobą nie mieli i kobieta przylgnęła do pasierbów jak do swoich własnych.

Najstarsza, dobra i potulna, umiała jakoś najbardziej pozyskać jej względy. I reszta dzieci darzyła się... Z najmłodszą tylko nie mogła nigdy dojść do ładu.

III.

Dziwne to było dziecko ta Marcysia.

Po śmierci matki oddano ją do wykarmienia sąsiadce, która niedawno pochowała własne dziecię.

Był to pierwszy i ostatni zarazem sukces w życiu naszej bohaterki.

Z powrotem do rodzicielskiego domu rozpoczęła się dla dziecka era karmienia żurem i ziemniakami, przekleństw i „potrącań“. A miała już takie szczęście, że zawsze wlazła tam, gdzie jej nie było potrzeba. Kilka razy pełzającemu maleństwu przygniótł ojciec ciężkim butem rączkę, dwa czy trzy razy macocha poparzyła warem z odcedzonych kartofli, a nawet wieprzek, plątający się po chałupie, zdradzał nieraz niekłamany gust zapoznania swych zębów z mizerną powłoką cielesną dziecka.

Mimo tego Marcysia żyła i na złość wszystkim rosła, przychodziła do poznania ludzi i sprzętów i połączonych z nimi różnorakich niebezpieczeństw dla siebie.

Gdy na wiosnę otworzono na rozstaj wązkie drzwiczki z izby do „pola“ i chłodnawy, ożywczy prąd powietrza wpadł w zgniłą atmosferę chałupy — Marcysia pociągnęła w stronę drzwi, usiadła na progu i długo chciwie wciągała wilgotną woń ziemi w wązkie płuca.

Odczuła instynktownie, że o wiele bezpieczniej za temi drzwiami, niż w chacie, gdzie matka przy kominie rzuca garnkami, ojciec krzyczy i nogami ją potrąca a rodzeństwo wydziera jej z ręki niedogryzki chleba.

Rosła i wychowywała się zrazu w pobliżu chlewa i gnojówki, zawarła przyjaźń ze starym kotem przybłędą a nawet nieraz okrążała zdaleka budę psa. Z zachodem słońca po cichu i trwożliwie wsuwała się do chaty i, przytulając się do ścian, okrążając ludzi i sprzęty, docierała szczęśliwie do przypiecka, skąd pierwszy świt wywabiał ją już na podwórko.

W rodzicielskiej chacie nie zważano bardzo na obecność „zatraconego pędraka“.

Z biegiem lat i dzięki zapobiegliwości gospodyni wszedł względny dostatek w dom Prusaka. Była już i krowa z którą starszy chłopak wychodził na pastwisko, było i kilka gęsi, które młodsza od niego dziewczyna wodziła na trawę.

O Marcysię, wyrośniętą już z lat dziecka, nikt nie dbał i nie żądał też niczego, jakby milczącym jakimś układem rodzinnym przechodzono nad nią do porządku dziennego i tolerowano — o ile nie weszła w drogę nikomu.

Dziewczyna rosła, jak dziczka, swobodnie, nie krępowana nauką ani obowiązkami, jakie cały dom podzielał.

Z zamiłowaniem za to uganiała po wsi, biegała do lasu i najswobodniejszą i najszczęśliwszą czuła się w samotności. Do chałupy wpadała prawie tylko na południe po łyżkę strawy, lub kęs chleba — i wieczorem na noc.

Nie znała co obowiązek, lub praca — ludzi nie lubiła i nie rozumiała ich po prostu. Odpychało ją coś od nich i gnało po górach i lasach, które za to poznała na wylot i kochała jak swoją dziką swobodę.

Niepohamowana jakaś siła parła ją ciągle przed siebie. Gdy widziała przed sobą las lub górę, musiała ją poznać, musiała zobaczyć „jak też tam na drugiej stronie wygląda“. Nasyciwszy ciekawość — doznawała zawsze zawodu.

— A dyć tu tak samo jak i u nas! mówiła do siebie z rozczarowaniem, i zniechęcona, zmordowana rzucała się całem ciałem na trawę i popadała w twardy sen zmęczenia, z którego często budziła ją burza lub chłód nocny.

Zrywała się wtedy i w zawody z burzą, siekana wichrem i deszczem — dopadała domu.

IV.

Wśród tej rozpasanej swobody doszła Marcysia szesnastu lat i — przyznać trzeba — rozwinęła się na wcale dorodną dziewczynę.

Wśród śniadej, opalonej twarzy, tryskającej zdrowym rumieńcem — świeciła para zielonawych oczu jak u młodego wilka, na czoło spadały czarne, pomierzwione włosy, których reszta, spięta w warkocz, spływała na krągłe ramiona. Opalone ręce i stopy nie odznaczały się wprawdzie przesadną delikatnością rozmiarów, ale były kształtne i proporcyonalne do całej pokaźnej postaci dziewczyny.

Możnaby ją nazwać ładną, gdyby nie ta dzikość spojrzenia i ruchów, któremi pociągała ale zarazem i odstręczała od siebie.

Opinia całej wsi zgadzała się na jedno: że w Marcysi „coś“ siedzi.

Kto wie, czy urodzona w wykwintnej sferze miękkich kozetek i ślizgich posadzek nie zyskałaby sławy „ekscentrycznej piękności“, czyby nie interesowała osobą swoją lwów i lwiątek salonowych. Atoli w tym stanie rzeczy zyskała miano: głupiej, a interesowała sobą i to przemijająco — tylko pastuchów wiejskich.

I wiejski światek ma swoje konwenanse i uprzedzenia towarzyskie, i żaden „porządny“ parobek nie oglądnął by się w dzień za „latawicą“.

Ku uspokojeniu czytelnika możemy jednak zapewnić, że tak, czy owak, czy idąc po miękkich dywanach, czy twardej, nagiej ziemi — doszłaby do tych samych rezultatów.

Wiedziała zresztą o tem cała wieś, wiedzieli po części i rodzice „głupiej Marcysi“. (C. d. n.)

Chińczyk jako kolonizator.

Znany publicysta amerykański Poultney Bigelow pisze w jednym z dzienników londyńskich o Chińczykach, jako kolonistach, pomiędzy innemi co następuje:

Chińczyk posiada jednę zaletę, która czyni go pod pewnym względem najlepszym kolonistą na świecie. Mam tu na myśli zdumiewającą jego zdolność znoszenia najskrajniejszych warunków temperatury. Gdy Peiho pokryje się grubą warstwą lodową i kanonierki europejskie uwięzione są pod Tienstsimem, gdy wiatr z pustyni mongolskiej przynosi mróz, przypominający Dakotę w styczniu, gdy wszystko otula się w futra i długie karawany wielbłądów z tamtej strony „wielkiego muru“, sprawiają wrażenie figur zamrożonych, kulis chiński w lekkiej swej odzieży bawełnianej pracuje od rana do nocy lub siedzi przy swym towarze, obojętniejszy na zimę syberyjską, niż chłop rosyjski, okryty od stóp do głów kożuchem. O tej samej jednak porze roku, w Kantonie pod słońcem zwrotnikowem Chińczyk wprawia w zdumienie Europejczyka wytrwałością i energią swej pracy. Zima i lato, klimat podzwrotnikowy i mróz z pod bieguna, wszystko to zdaje się być obojętnem dla Chińczyka. Przypatrywałem się Chińczykom, jak wsuwali węgle w paleniska parowozów, w lipcu i sierpniu w Singapore i Hongkongu, albo zimą w Kanadzie i Korei, w Ameryce Południowej przy ujściu Orinoka i na morzu Czerwonem. Gdy człowiek biały kuli się od zimna lub mdleje wskutek upału, John Chinaman biega swobodnie z ciężarem na plecach, i śpiewa sobie

pod nosem, zdziwiony, że dla innych życie nie jest tak lekkiem, jak dla niego.

Podczas mej pierwszej podróży z Hongkongu do San Francisco okręt nasz wiózł na pokładzie 2,000 Chińczyków, a kapitan zapewniał mnie, że są oni schludniejsi i sprawiają daleko mniej kłopotu, niż 20 Irlandczyków. W r. 1898 mieliśmy ładunek około 1,500 Chińczyków, powracających z Singapore do Hongkongu, a zachowywali się oni tak przyzwoicie i spokojnie, że biali pasażerowie w kajutach zaledwie się domyślali ich obecności na okręcie. Gotowali oni sobie swe pożywienie na własny swój sposób, sypiali na własnych swych tapczanach, utrzymywali pokład w zdumiewającej czystości i wystrzegali się wszelkiego hałasu. W tym samym roku jechałem na wspaniałym parowcu linii „Empress“ z Jokahamy do Vancouver. Okręt wiózł około 1,000 Chińczyków, których po ich przybyciu do Kanady, poddano dezynfekcyi; środek to śmieszny, zdaniem kapitana i tych, którzy znają Chińczyków. Jeżeli dezynfekcya emigrantów ma wogóle sens jakikolwiek, to nie na wybrzeżu Pacyfiku, lecz co najwyżej w New-Yorku lub Montrealu, gdzie wyładowują nasi bracia w Chrystusie.

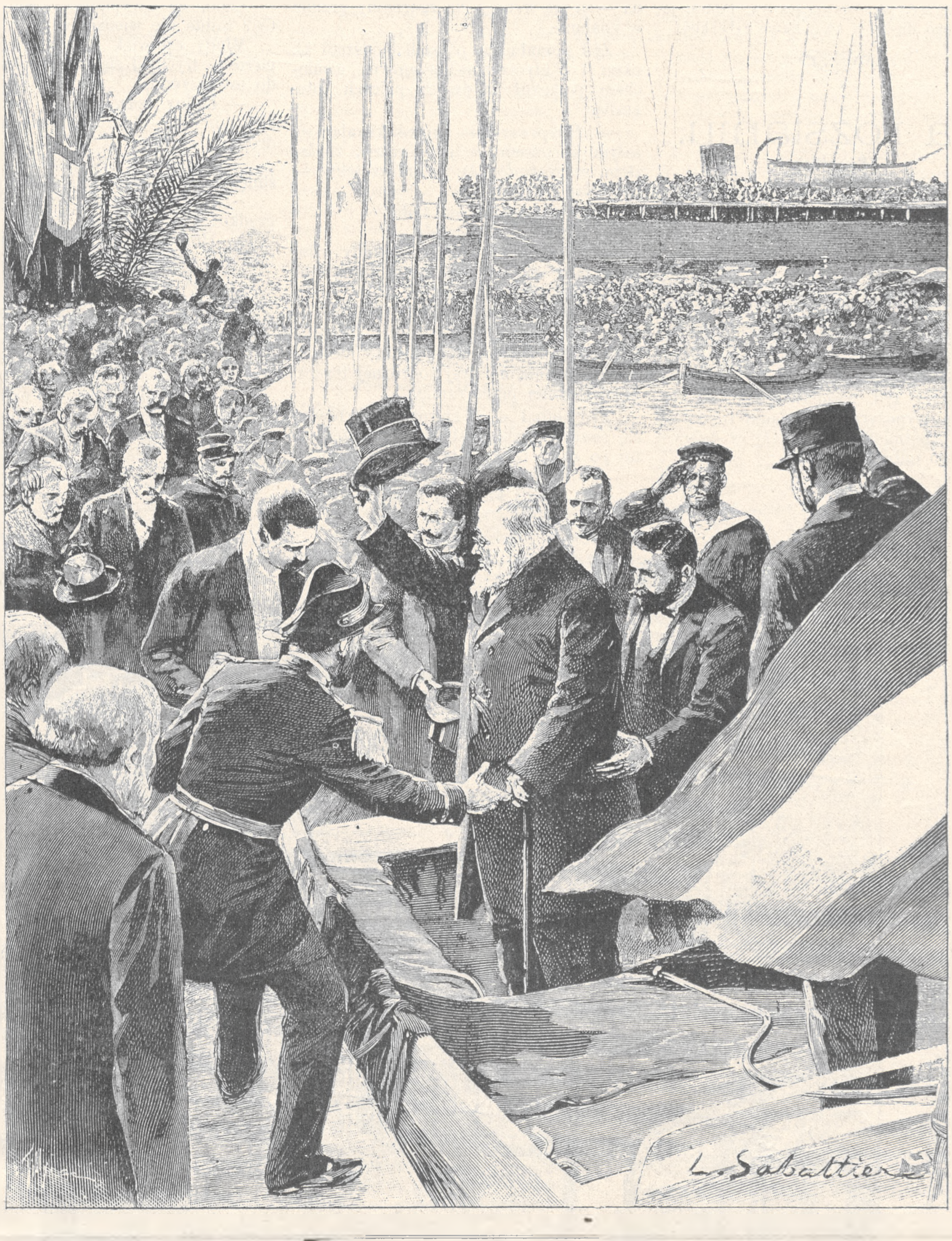
U nas, w Stanach Zjednoczonych, Chińczyk okazał się jako błogosławieństwo przemysłowe, a poniekąd nawet jako konieczność przemysłowa, przy budowie pierwszych linij kolejowych, łączących wybrzeża Pacyfiku i oceanu Atlantyckiego. Przybył on pod zobowiązaniem, że pracować będzie jako kulis, sypać będzie tor, układać podkłady i szyny. Sądzono, że zniknie on z Ameryki po upływie swego zobowiązania. Zawiedliśmy się jednak fatalnie, oceniając nie dość wysoko inteligencyę naszych gości. W kilka lat bowiem później wtargnęła w pola złote Kalifornii nowa rasa, której rozwój na ziemi amerykańskiej tamowały co najwyżej kiedy niekiedy wybuchy nienawiści białego motłochu.

Często spotykałem przed 25 laty w Kalifornii Chińczyków, kopiących złoto na placach, opuszczonych jako wyczerpane przez europejczyków; i ludzie żółci gromadzili bogactwa przy zajęciach pogardzanych przez zielonych wychodźców z Irlandyi. Oficerowie naszej armii, stojący załogą na dalekiej Północy, opowiadali mi, że bez pomocy Johna Chinamana musieliby sami wykonywać wszelkie prace domowe. Chińczyk hodował tam warzywa, usługiwał do stołu po ugotowaniu obiadu i woził dzieci na spacer.

Politycznemu wpływowi organizacyi robotniczych w San Francisco udało się przeprowadzić prawo, wydalające Chińczyków ze Stanów Zjednoczonych lub zakazujące przynajmniej dalszej immigracyi. Dzięki jednak niedbałemu dozorowi naszych urzędników na granicy, Chińczycy przekradali się przez 3000 mil angielskich długą naszą granicę północną, i to z takim skutkiem, że niema dzisiaj w całych Stanach Zjednoczonych miejscowości, w którejby nie było co najmniej jednego Chińczyka, zatrudnionego w ostatecznym razie praniem bielizny.

Mamy więc dzisiaj kolonizacyę, datującą się zaledwie od lat 50, zwalczaną energicznie przez rząd Unii i pozbawioną wszelkiego poparcia ze strony rządu chińskiego, a mimo to posuwającą się powoli, lecz stale i niepowstrzymanie na drodze zdobyczy przemysłowej, której widownię stanowi cała prawie kula ziemska. Spotykamy Chińczyków zarówno w Indyach zachodnich, jak w Ameryce Południowej, w Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych. Stanowią oni załogę angielskich i amerykańskich parowców, krążących po Pacyfiku, począwszy od spiżarni kucharza okrętowego, a skończywszy na palenisku palacza. „Lloyd północno-niemiecki“ utrzymuje w swych podróżach z Bremy do Szanghaju pralnię chińską i palaczy Chińczyków, a gdyby nie obawiano się protestu ze strony parlamentu, i cała załoga okrętów składałaby się z przedstawicieli rasy żółtej.

Podróż prezydenta Krügera.



Wyładowanie w Marsylii.

Podróż prezydenta Krügera.



Krüger odjeżdża z Marsylii.

Korespondencya Watykanu.

Liczba listów, nadchodzących codziennie do Watykanu, jest bardzo wielka. Tak np. sama poczta włoska wręcza codziennie portyerowi przy bramie bronzowej rezydencyi papieskiej około 2000 listów i posyłek. Wszystkie listy, po przejściu progu Watykanu, poddawane bywają klasyfikacyi i jedne idą do mieszkańców pałacu, inne do oddzielnych kongregacyj. Korespondenci, mający z Watykanem stałe stosunki listowe, używają na listy do Ojca św. osobnego papieru, zwanego *carta palomba,* wyrabianego ręcznie w fabrykach w Fabriano. Wszystkie tego rodzaju listy obowiązkowo pisane są po łacinie, wszystkie powinny w myśl etykiety, zaczynać się od słów: *Beatissime Pater,* a kończyć na starodawnej, również przez etykietę watykańską stworzonej formule, zaczynającej się od słów: *Et Deus* itd. Piszący powinni wypisywać w podpisie wszystkie swoje imiona, kurya bowiem rzymska nie odpowiada na listy, podznaczone tylko nazwiskiem. Zamknięty w kopercie i zapieczętowany białym lakiem list, idący do Watykanu, ma być zaopatrzony w adres następujący *Sanctitati Suae Leoni Papae XIII feliciter regnanti.* Tylko w ten sposób przygotowany list ma widoki dojścia od sekretaryatu papieskiego, skąd przechodzi do kancelaryi przybocznej, następnie zaś po przeczytaniu powraca do biur i, umieszczony w odpowiedniej grupie, pozostaje na wieczne czasy w archiwach watykańskich.

Kto jednak pragnie, aby list był wręczony Ojcu św. i odczytany przez Leona XIII, ten dokonać musi bardzo wielu jeszcze zabiegów. Dwie drogi stoją otworem. Najprzód list może być powierzony jednemu z prałatów dworu papieskiego lub też któremuś z dyplomatów przy Watykanie akredytowanych. Najlepszą zaś rekomendacyą dla listu jest jednoczesne ofiarowanie mniej lub więcej znacznej sumy na cele dobroczynne. Niekiedy dostają się w ten sposób do Ojca św. książki treści bardzo niezwykłej. Tak naprzykład jeden z dentystów amerykańskich nadesłał do rąk Ojca św. książkę swoją, zatytułowaną „O konserwacyi zębów“, wierzch zaś książki, zamiast okładką, obłożył tysiącfrankowymi banknotami francuskimi z napisem: „Na misye katolickie“. Drugi sposób polega na włożeniu listu w dwie koperty, z których jedna wierzchnia, zaopatrzona jest w adres jak wyżej, wewnętrzna zaś nosi napis: „Do rąk Jego Świątobliwości Ojca św., prefekta świętej rzymskiej inkwizycyi“. Według zwyczaju, pochodzącego z czasów Pawła IV, nikt z sekretarzów papieskich nie ma prawa otwierania tak zaadresowanej korespondencyi. W praktyce jednak dzieje się, że Ojciec św. odbiera takie listy do rąk własnych, otwiera kopertę i nie czytając ich, bo przeczytanie takiej masy listów byłoby niepodobieństwem, oddaje je kardynałowi Rampolli.

Ale licznym korespondentom Watykanu chodzi nietyle o otrzymanie odpowiedzi. Zaszczyt ten ma różne stopnie. Jeżeli osobistość korespondenta nie odznacza się niczem, redakcyą odpowiedzi zajmuje się kancelarya, która się posługuje stałemi w takich razach szematami i formułami. Osobistości więcej znane otrzymują odpowiedź, redagowaną najczęściej przez kardynała Rampollę. W niezmiernie rzadkich wypadkach, jeżeli korespondent jest księciem krwi, królem lub głową państwa, Ojciec św. odpowiada listem własnoręcznym pisanym zawsze po łacinie, ową świetną ła-

cią ciceronowską, którą Leon XIII przyswoił sobie tak wiernie. Tego rodzaju listy otrzymują pieczęć, przedstawiającą św. Piotra, jednoczącego dusze w swej barce rybackiej.

Na rozstaniu.

(Nowelka).

Nastąpiło to, co nastąpić musiało. Rozstawali się...

Rozstawali się spokojnie, bez scen i wyrzutów wzajemnych, cicho i smutno, jak cichem i smutnem było ich kilkoletnie pożycie.

Mały pokoik w oficynach starej kamienicy ogołacał się powoli ze sprzętów. Część ich wyniesiona już była do sionki, gdzie stary żyd, handlarz mebli, od którego je wypożyczono, oglądał troskliwie każdy przedmiot badając, czy w dobrym stanie go odbiera.

W półprzymkniętych drzwiach od sieni ukazała się charakterystyczna głowa żyda — za nią wsunął się zgarbiony grzbiet w chałacie.

Żyd pomału na palcach podszedł ku oknu i z idyotyczno-uprzejmym uśmiechem podawał w dwóch palcach fotografię.

— *Przeprasam* — mówił kiwając się całym korpusem — *przeprasam,* znalazłem w *siufladce.* Ja jestem rzetelny — ja oddaję!...

Kobieta podeszła do żyda.

— Co to? — zapytała.

— Nic! nic! — odparł młody człowiek przy oknie — to moja fotografia.

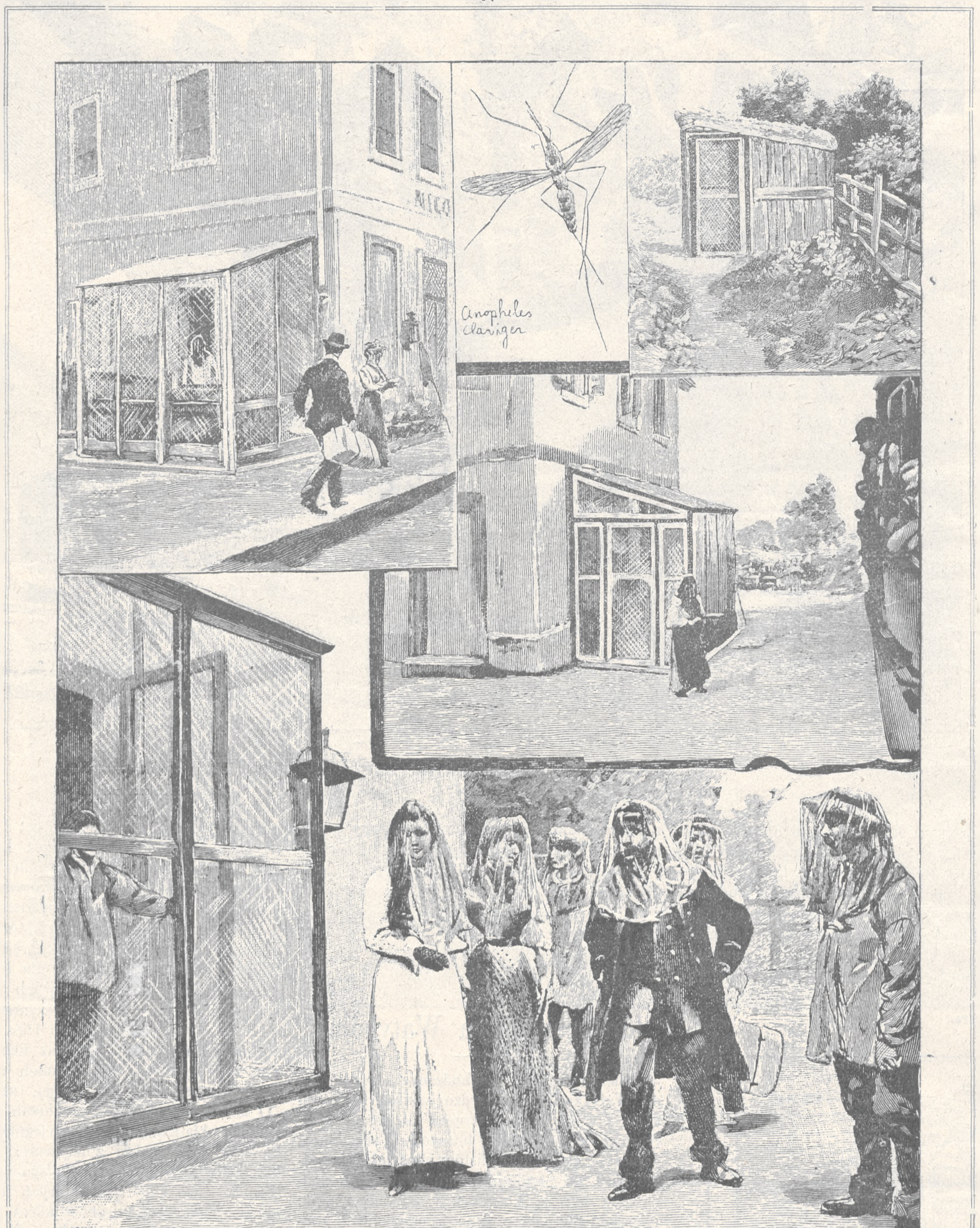
— Darowałeś mi ją!

— Jeżeli ci na tem zależy, możesz ją sobie zatrzymać.

Podał jej fotografię, którą, nie patrząc schowała do swej podróżnej torebki przewieszonej przez ramię.

Żyd cofnął się w zmrok i zgarbiwszy się jeszcze bardziej, stanął z opuszczonemi po sobie rękoma pod ścianą.

Walka z malarją we Włoszech.



Zarządzenia ochronne na kolei Battipaglia-Cappacio.

Kobieta plątała się obojętnie od ściany do ściany po opustoszałym pokoju, upatrując po kątach „czy czego nie zapomniała". Od czasu do czasu schylała się, podnosiła jaki strzęp lub papier do oczu, a po tem rzucała na podłogę. Mężczyzna, oparty plecami do okna, palił leniwo papierosa za papierosem.

Młoda kobieta zbliżyła się do okna.

— To zdaje się twoje — podała mu zmięty arkusik listowego papieru, wyprostowawszy go poprzednio na dłoni.

— Tak — rzekł lakonicznie, przebiegł oczyma papier i zwinąwszy, schował do kieszeni.

Był to dawny list jego kochanki. Widocznie musiał zapomniany wypaść z biurka przy wynoszeniu.

— Czy pan jeszcze czeka? — zapytał właściciel uprzątnionego mieszkania.

Żyd znowu podszedł ku oknu.

— *Przeprasam,* mnie się jeszcze należy u. Wielm. Pana za dwa złamane nogi u szafki...

— Wiele?

Żyd wymienił kwotę.

Nie patrząc na niego, wyjął z portmonetki pieniądze, które żyd skwapliwie chwycił drżącą ręką i w ukłonach wysunął się za drzwi.

Z sieni dochodził stukot znoszonych gratów, przekleństwa tragarzy i chrapliwy głos żyda, zalecającego im ostrożność przy trzymaniu i znoszeniu.

Między dwojgiem ludzi — w pustym zamkniętym pokoju, zapanowało kłopotliwe milczenie.

Czuli, że „wypadało" coś mówić... Co? żadne nie wiedziało.

Młody człowiek chrząknął, zapalił papierosa, wychylił się przez okno i rzekł do towarzyszki.

— Ładny czas, jeszcze nie jest całkiem zimno — będziesz miała przyjemną drogę.

— Tak jest — mruknęła przełykając ślinę, a po chwili dodała spokojnie:

— Ktoby pomyślał, że nastąpi *to* tak prędko!

— Hm! hm! — Krzyknął interlokutor, a w duchu dodał:

— Tak prędko i lekko!...

Stali naprzeciw siebie, nie patrząc na siebie. Jej wzrok wybiegł za okno i zawisł w przestrzeni bladego wrześniowego horyzontu, odgraniczonego na dole jaskrawą linią zachodu.

On — oparty wciąż o okno, wlepił oczy w przeciwległą ścianę, brudną i odrapaną po zdjęciu żydowskich obrazów, jakby w jej plamach i skazach czytał niedawną przeszłość, z którą dzisiaj zrywa.

— Że to nastąpi tak prędko i lekko — powtórzył jeszcze raz w duchu.

I uczuł żal do niej i do siebie. Więc i ta ostatnia chwila nie dała mu żadnego wrażenia, nic, coby go zabolało czy ucieszyło, nic, coby go podnieciło.

Szare i nudne *to,* jak ten pokój, gdzie z nią przeżył dwa lata, jak ten obrzydliwy jesienny koloryt nieba.

Uczuł żal — żal duszy spragnionej wrażeń i odmiany... Odetchnął i potarł ręką czoło. Zbudził się w nim znowu człowiek.

— Właśnie! Dobrze się stało! Te ostatnie refleksye, te pożegnania — to takie nużące, tak denerwuje! Ona musiała to intuicyjnie zrozumieć.

To już ostatnia szara chwila, po za nią wolność, do której oboje za wspólnem legalnem porozumieniem idą!... I za to uczuł dla niej wdzięczność i spojrzał dobrotliwie na jej bezmyślne oczy.

— No! chodźmy! — rzuciła niecierpliwie — spóźnię się na pociąg!

— Może cię odprowadzić — spytał.

— Dziękuję ci!... na dworcu czekają już na mnie!

— Więc chodźmy!

Słońce ostatni skośny promień odbiło w brudnych szybach pokoju.

Dwoje biednych więźniów wychodziło znowu na świat...

Konstanty Krumłowski.

Nasze ryciny.

Smutną była podróż jaką prezydent Krüger odbył z Marsylii, gdzie wylądował w dniu 22. listopada b. r., do Paryża i Hagi, gdzie obecnie przebywa, smutną nie dla braku owacyi i bankietów, lecz dlatego, że sędziwy przedstawiciel republik południowo-afrykańskich mógł się dosadnie przekonać o dyplomatycznym spokoju z jakim mocarstwa traktują sprawę ohydnego gwałtu, dokonanego przez Anglię na Boerach. Ryciny pomieszczone w łamach dzisiejszego numeru, mogą dać czytelnikom niejakie wyobrażenie o entuzyazmie w jakim ludność witała Krügera. Począwszy od wylądowania w porcie marsylskim aż do wjazdu do Hagi, nieszczęśliwy starzec był przedmiotem ogólnego zapału i entuzyastycznych wynurzeń współczucia. Lecz polityką rządzi zimne wyrachowanie nie zaś uczucie! To też mimo przyjęcia u prezydenta Loubeta, mimo owacyi marsylskich, paryskich i kolcńskich sprawa Boerów nie posunęła się ani o krok naprzód. Najwstrętniejszą rolę odegrały w tem wszystkiem Niemcy, kraj spokrewniony plemiennie z Boerami, potężne mocarstwo, które mogłoby podjąć skuteczną interwencyę w sprawie aktu brutalnej przemocy, dokonanego na pobratymcach. Nadzieje Krügera, jeżeli jakie żywił, zostały wszędzie zawiedzione. Nie brakło wprawdzie platonicznych zapałów, deputacyi, mówek i wiwatów, lecz cesarz Wilhelm odmówił sędziwemu prezydentowi posłuchania... Widać stosunki mocnej uległy zmianie od czasu słynnych telegramów gratulacyjnych, które bodaj czy nie najwięcej przyczyniły się do obudzenia w Boerach chęci walk o niepodległość. Ale Krüger może może być spokojnym. Cesarzowi nie wypada przyjmować go na audencyi, lecz za to nadworny kaznodzieja pruski, otrzymawszy nakaz pomodlenia się za pomyślność jego losów woła podczas nabożeństwa: „Niech Bóg pomaga Krügerowi, niech zbawi jego i jego naród!" Prawda jak to ładnie wygląda?

Chiński bigos zaczyna przybierać coraz to ostrzejszy i coraz mniej dla zjednoczonych mocarstw przyjemny posmak. Zewsząd nadchodzą wieści o gotujących się nowych rzeziach, ohydne postaci „bokserów" zaczynają znów potrząsać skrwawionymi nożami, a rokowania pokojowe idą w parze z coraz to nowemi utarczkami między armią mocarstw, a „czerwonym kułakiem". Potyczki te są nieraz bardzo krwawe. Jedna z dzisiejszych rycin przedstawia transport rannych japończyków, spławiany wodą do szpitali wojskowych. Ludzie giną marnie od kul lub nożów skrytobójczych, dziesiątkują ich różne choroby i męczenie, a tymczasem Lihungczang śmieje się w kułak z całej dyplomacyi, wodząc za nos wielkich polityków przemądrej Europy. I po co to wszystko? Cui bono?

Rycina, przedstawiająca w szeregu obrazków środki zapobiegawcze przeciwko szerzeniu się malaryi we Włoszech jest objaśniona odnośnym artykulikiem, więc nie tłomaczymy jej treści na tem miejscu.

Na czele dzisiejszego numeru znajdą czytelnicy rycinę przedstawiającą ks. Andrzeja Szpondra, kandydata partyi antysemicko-narodowej na IV. kuryę okręgu Wadowice-Myślenice. Ks. Szponder jest jedną z najsympatyczniejszych postaci, wyniesionych przez ruch ludowy na powierzchnię życia politycznego a dotychczasowe jego sukcesy na zgromadzeniach w okręgu wyborczym każą przypuszczać, iż pomnoży sobą szeregi posłów przyszłej Rady Państwa. Zwycięstwo Dra Danielaka w V. kuryi nowosądeckiej i moralny tryumf odniesiony przez Ptaka w walce z żydowskim międzynarodowcem, są dobrymi prognostykami dla narodowo-antysemickiej kandydatury ks. Szpondra.

Kronika literacko-artystyczna.

LITERATURA.

* W Dreznie zmarł, Ernest Eckstein jeden z najwybitniejszych powieściopisarzy i humorystów niemieckich. Eckstein, urodzony dnia 6 lutego 1845 r., wcześnie rozpoczął swoją pracę literacką i już pierwszym utworem, pełnym humoru: „Szach królowej“, napisanym podczas pobytu w Paryżu, gdzie z zapałem oddawał się studyom filozoficznym, zwrócił na siebie uwagę. Od tej pory autor nieopuścił już pióra, z pod którego wychodziły tętniące życiem i werwą humoreski, czytane chętnie i uznane przez krytykę. Szczególniej zbiorek szkiców: „Z sekundy i prymy“, a głównie „Wizyta w kozie gimnazyalnej“, utwierdziły jego popularność. Dzięki tym utworom, do których zaliczyć należy jeszcze „Upiory w Warcynie“, „Niemą z Sewilli“, „Wenus Uranię“ i t. p., nazwisko Eckstein'a stało się głośnem w całych Niemczech. Pozostał też do końca życia więcej popularnym, jako humorysta, aniżeli jako autor poważnych i rzeźbionych powieści historycznych, którym poświęcał się wyłącznie w ciągu ostatnich lat dwudziestu. Przed śmiercią Eckstein chorował długo i ciężko.

* „Rodzina Połanieckich“ Sienkiewicza zacznie wychodzić w tych dniach w przekładzie francuskim, w fejletonach dziennika paryskiego „Temps“, o czem zawiadamia czytelników redakcya tegoż pisma.

* „Encyklopedyi Staropolskiej Illusrowanej“ wyszedł zeszyt VI i zawiera wyrazy od „Brygidki“ do „Cyna“. Treść tego zeszytu jest nie mniej pożyteczna i ciekawa jak czterech poprzednich. Pod wyrazem np. „Cenar“, który jest nazwą słynnego tańca staropolskiego w czasach Zygmuntowskich, znajdują się nuty jego melodyi po raz pierwszy po kilku wiekach ogłoszone, a przez p. Polińskiego z nieznanej tabulatury organowej wieku XVI na dzisiejszą pisownię muzyczną przepisane. W artykule o cechach w dawnej Polsce znajduje się ciekawa pieczęć cechu złotników warszawskich z r. 1438, (rysunek tłoku i rączki). W ogłoszeniu na okładce czytamy, że w grudniu wyjdzie zeszyt VII jako dopełnienie tomu I, który w oprawie ozdobnej i mocnej kosztować będzie tylko 3 rb.

* „Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego“ na r. 1900 a wydawnictwa Towarzystwa tom XXI. wyszedł w Krakowie i rozesłany zostanie członkom. Zwykły materyał statystyczny okrasi dodatek zawierający pięć pięknych widoków tatrzańskich w heliograwurach.

* „Dzieje Słowiańszczyzny północno zachodniej aż do wynarodowienia słowian zaodrzańskich przez Wilhelma Bogusławskiego. Dzieło uwieńczone na konkursie Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Tom IV (z mapą). Nakładem autora. Z drukarni Dziennika Poznańskiego 1900.“ Jest to ostatni tom konkursowej pracy, ale autor zapowiada, że prawdopodobnie wyda jeszcze tom V, jako obraz wynarodowienia Pomorzanów między Odrą a Wisłą, Polaków na Szląsku i w Nowej Marchii, Serbów nad Solawą, Łabą oraz Łużyczanów. Co do ostatnich wydał już w serbskim języku dzieło p. t. „Historya serbskiego narodu“, Wilhelm Bogusławski a Michał Hornik. Budyšin 1881.

Olbrzymie dzieło teraz w głównej części ukończone, przedstawia się w 4 tomach wspaniale, a jeżeli uczeni w tym i owym szczególe założenia i przeprowadzenia nie będą mogli we wszystkiem zgodzić się z autorem, nikt z nich nie przedstawi bardziej wyczerpującego materyału, jak tem dziełem objęto. Autor czytał wszystko co temat jego ilustruje. Podniesienia godną jest mrówcza praca jego, która w dziele tem zgromadziła tak olbrzymi materyał z wszystkich wieków i wszystkich języków. Dzieło jego jest kodeksem, z którego następcy czerpać będą mogli w nieskończoność. Dla tego też tezy jego, oparte na takim materyale, muszą mieć znaczenie pierwszorzędne. Autor granice pierwotnej słowiańszczyzny pomyka daleko na zachód. Może to się zdawać przesadą, ale idąc za wykładem autora, trudno nie dać wiary jego jasnym wywodom i prostym wnioskom. Dzieło jego mianowicie wypowiada wojnę geografii i etnografii niemieckiej w sprawie słowiańszczyzny. Nie łatwo się one zdobędą na naukowe zbicie jego tez, bo też łatwiej je zbyć niby politycznemi pewnikami.

* Amarilis. Nowelki i obrazki z życia. Warszawa, 1900. Na składzie w księgarni J. Fiszera.

Siedem drobiazgów złożyło się na tę książkę, siedem prób nieudolnych, siedem grzechów głównych młodej, początkującej widocznie autorki czy autora.

Nowelki i obrazki w tym rodzaju, co „Słoneczko dziadunia“, „Niezłomna wola“, „Ostatnia prośba“ i t. d. — pisują czasem pensyonarki, panny przed wyjściem za mąż, lub nauczycielki, skazane na wegetacyę w dworach wiejskich, i zyskują przez to sławę „literatek“. W druku spotykamy je rzadko.

Ten rzadki wypadek zanotować możemy z powodu ukazania się książki Amarilis'a. Przeminie ona bez echa, bo nie dźwięczy w niej ani jedna struna prawdziwego talentu.

* Piotr Véron, jeden z najbardziej znanych dziennikarzy paryskich, zmarł nagle w tych dniach, przeżywszy lat 70. W roku 1865 został naczelnym redaktorem pisma „Charivari“ i kierował niem do roku zeszłego. Véron był niesłychanie płodnym pisarzem; w ciągu ostatnich lat czterdziestu nie było prawie większego dziennika literackiego w Paryżu, w którym on nie byłby współpracownikiem; nadto wydał szereg z humorzm nakreślonych szkiców z życta paryskiego i napisał kilka komedyi, granych z powodzeniem. W literacko-artystycznem życiu Paryża grał Véron dużą rolę; w salonie jego zbierały się wszystkie znakomitości z tych sfer; popierał też Véron młode talenty, a między innymi ułatwił Alfonsowi Daudet'owi pierwsze kroki w zawodzie literackim

* Nieznane dzieło Alfonsa Daudeta, o którego istnieniu dotychczas nikt nie wiedział, wyszło świeżo u Flammariona w Paryżu p t. „Premier voyage, premier mensonge, souvenirs de mon enfance“. Daudet nie wykończył nawet tej książki, ozdobionej ilustracyami Bigot-Valentina, ale naszkicował szereg notat, z których pozostała po znakomitym pisarzu wdowa, złożyła tomik bardzo zajmujący, jak zresztą wszystko, co wyszło z pod pióra autora „Nababa“. Treść w ogólnych zarysach przypomina trochę autobiografię Daudeta „Petite chose“, trochę zaś „Tartarina“. Szesnastoletni Alfons i jego młodszy kuzyn, Leon, opuszczają lyceum w Nîmes, aby dalej prowadzić studya w Lugdunie. Ze względów oszczędności odbywają podróż z Beaumaire do Lugdunu na nędznym statku parowym na Rodanie, który na przepłynięcie tej przestrzeni zużywa blisko tydzień czasu. Młodzi podróżni naczytali się książek, opisujących podróże morskie, co chwila więc zdumiewają podróżnych i załogę statku swemi wiadomościami z dziedziny marynarki, efekt zaś potęguje się przez to, iż studenci przed jakimś łatwowiernym współtowarzyszem podróży nazwali się wychowańcami szkoły oficerów marynarki w Warnie. Zarówno podróżni cywilni, jak jadący na statku byli wojskowi, z których kilku służyło w wojnie krymskiej; nazywają ich oficerami. W takim charakterze młodzieńcy wpadają w oko dwom młodym kobietom z Lugdunu. Wytwarza się szereg przygód, a w końcu zdemaskowani przez jakiegoś marynarza angielskiego przyznają się do mistyfikacyi. Rzecz odznacza się właściwym Daudetowi humorem

* „Historya sztuki“. Na postawie dzieła Rogera Peyer'a, opracowała Walerya Marrené-Morżkowska. Warszawa 1900.

Książka ta, wydana z zapomogi Kasy im. Mianowskiego, zapełnia dotkliwą lukę w naszem piśmiennictwie popularno-naukowem.

Utrzymana w granicach elementarnych, jest ona zwykłym podręcznikiem tylko, ale takiego podręcznika właśnie odczuwaliśmy brak wielki. W wykształceniu ogólnem historya kultury, a do niej należy przedewszystkiem historya sztuki, odgrywa rolę znaczną. Nie każdy jednak po wiadomości w tym kierunku sięgać może do literatur obcych, po polsku zaś nie mieliśmy dotąd książki, obejmującej historyę sztuki, jako całości. Praca p. Morżkowskiej udostępnia tymczasem tę dziedzinę wiedzy bardzo szerokiemu ogółowi. Podając wiadomości wstępne i podnosząc ogólny poziom wykształcenia, otworzy ona przed każdym, chętnym do nauki umysłem — drogę do poważniejszych stutyów estetycznych.

Walcząc z trudnościami stworzenia oryginalnego podręcznika polskiego, autorka zdecydowała się pójść śladami Peyer'a i na podstawie jego książki pracę swoją budowała, uzupełniając ją tu i owdzie wiadomościami o sztuce polskiej. Szkoda jednak wielka, że wiadomości te są rzeczywiście tylko bardzo skąpemi uzupełnieniami. Powiększenie książki o jeden lub dwa arkusze druku niewiele przysporzyłoby już kosztów, a rzeczy i pomniki swojskie mogłyby w niej z pożytkiem dla czytelników i uczących się szersze znaleźć uwzględnienie.

Z tem wszystkiem książka p. Morżkowskiej najzupełniej odpowiada swemu zadaniu, obejmując treściwy, zwięzły i jasny wykład dziejów sztuki od czasów zamierzchłej przeszłości aż po dzień dzisiejszy. Dla samouków zwłaszcza i w nauczaniu domowem będzie ona bardzo cenna i pożyteczna.

* Nowe wydawnictwo. Firma księgarska Wende i Sp. stara się o pozwolenie wydawania w Warszawie miesięcznika p. t.: „Książka“, poświęconego bibliografii i krytyce.

* Nowo odkryty poemat Hezyoda. Pomiędzy zaginionemi dziełami tego znakomitego epika staro-greckiego — o których do nas doszła wiadomość -- znajdował się poemat, którego treścią były przygody różnych niewiast legendarnych, a zwłaszcza stosunki ich z bogami. Jeszcze w IV. wieku ery chrześciańskiej posiadaliśmy wiadomość, iż dzieła to znano i przepisywano, wszystkie jednak rękopisy zaginęły. Dopiero obecnie odnaleziono dwa zwoje papirusowe w jednym z wykopalisk egipskich — a na nim wypisany ów poemat nieznany. Obszerniejszą wiadomość o nim podaje prof. Wilamowitz w sprawozdaniach z posiedzeń berlińskiej akademii. Oba zwoje papirusowe pochodzą z czasów Hadryana i zawierają obszerne fragmenta poematu. Między innemi zachował się opis wesela Peleusa i Tetydy, oraz opis zalotów o Helenę. Zwłaszcza ten ostatni opis należy do arcydzieł poezyi greckiej, co się tyczy realizmu i szczegółowości, z jaką fakta są tam opisane. Charakterystyka zalotników, między innemi chytrego Odyseusa i dzielnego Menelausa, przeprowadzona wprost znakomicie. Nie jest rzeczą pewną, czy dzieło jest rzeczywiście utworem Hezyoda, czy też jest tylko jemu przypisywane. W każdym razie jego autor miał pierwszorzędny talent — a zwłaszcza wobec Homera zachowuje się zupełnie samodzielnie i nie stara się go niewolniczo naśladować, jak to inni z współczesnych mu poetów czynili.

TEATR I MUZYKA.

* O chorobach, którym ulegają grający na fortepianie, napisat ciekawą broszurę dr Zabłudowski w Berlinie. Wykazuje on, że pianiści nabawiają się zazwyczaj chorób chirurgicznych, skutkiem zbyt forsownych ćwiczeń. Najczęściej występuje t. zw. traumatyczne zapalenie jednego lub kilku palców, oraz stawów sąsiednich, a powstaje niekiedy bardzo szybko, bądź przez podkładanie wielkiego palca, bądź skutkiem zbyt silnego rozkładania palców. Choroba ta, ściśle umiejscowiona, bardzo często skutkiem zaniedbania lub też nieumiejętnego traktowania, przybiera większe rozmiary i powoduje rozmaite komplikacye. Dr Zabłudowski uczynił spostrzeżenie, że skutkiem gry na fortepianie chorują najczęściej uczennice konserwatoryów muzycznych, mające delikatną budowę kości, a zwłaszcza drobne ręce. Uczennice te, chcąc objąć oktawę, z wysiłkiem rozkładają palce, a nawet mechanicznie, przy pomocy gimnastyki, usiłują uczynić je podatniejszemi. Zdaniem dra Zabłudowskiego należałoby budować dla młodocianych pianistów osobne fortepiany, których klawisze byłyby nieco węższe od zwyczajnych. Zmniejszenie szerokości klawiszów o $^{3}/_{20}$ odpowiadałoby w zupełności rozmiarom ręki mniej rozwiniętej lub dziecięcej. Obok tych środków zapobiegawczych nie powinna też być zaniedbywana sama terapia, czyli leczenie. Najczęściej w takich wypadkach nauczyciele muzyki zalecają rozmaite dyletanckie środki, których stosowanie pogarsza tylko chorobę. Nie należy zatem polegać na zdaniu nauczyciela, ani też stosować środków domowych, lecz wczas udać się do lekarza, gdyż ten może jedynie w porę zapobiedz złemu.

* Pomnik Ryszarda Wagnera. W Berlinie, na krańcu Thiergartenu, wprost ulicy Hildebrandta, ma być wystawiony pomnik Ryszarda Wagnera. Rozmiary pomnika mają być zastosowane do rozmiarów posągów Goethego i Lessinga w Thiergartenie. Konkurs na projekt pomnika Wagnera będzie wkrótce ogłoszony.

* W Berlinie gości trupa włoska, pod dyrekcyą Marceliny Sembrich-Kochańskiej. Prasa kręci nosem na „welscher Singsang“, bo Niemcom wydaje się, że tylko oni jedni na świecie umieją śpiewać, lecz publiczność przepełnia zawsze salę po brzegi. Gwiazdami „stagione“ są: Kochańska, tenor Bonci i basista Arimondi, artyści pierwszej wody, na repertuarze widnieli dotąd „Purytanie“ i „Cyrulik sewilski“.

* Nasi artyści zdobywają sobie we Lwowie coraz to nowe laury. P. Solski zdumiewa publiczność i krytykę iście proteuszową zmiennością, rozwijaną w każdej kreacyi. Żdżarskim w „Dla szczęścia“ Przybyszewskiego i tytułową rolą w „Panu Jowialskim“ Fredry zdobył sobie znakomity artysta olbrzymie powodzenie.

Ulubieńcem publiczności stał się już p. Roman; jego szambelan w „Panu Jowialskim“ zrobił poprostu furorę, zarówno jak i szewc w sympatycznej jednoaktówce Rydla „Z dobrego serca“. P. Siennicka po tryumfie odniesionym w „Nowej Dejanirze“ rozentuzyazmowała znowu wszystkich swoją Olgą w „Dla szczęścia“. P. Tarasiewicz znajduje w teatrze lwowskim szeroskie pole do rozwinięcia swoich niepospolitych zdolności. Po użytku z „Baśni nocy świętojańskiej“ (rolę tę dublował sympatyczny artysta z Romanem!!) przyszła kolej na hr. Fantazego z „Niepoprawnych“, którym stanął odrazu na należnem mu stanowisku. Jak gdyby dla kontrastu zagrał potem p. Tarasiewicz Ludmira w „Panu Jowialskim“ i w tej roli o silnie komicznem zacięciu okazał się również doskonałym, a wreszcie ostatnio dzielił tryumfy p. Siennickiej w „Dzisiejszych“ Gawalewicza.

Listy z linii A-B.

VII.

Gdyby zagnany tułaczą wędrówką
Krüger zawadził o stary gród Smoczy,
Seinfeld na wstępie witał by go mówką
Wybałuszając rybie swoje oczy
A z politycznych zdarzeń dedukacyi
„Hojch!“ by socyalnej krzyknął demokracyi.

I korzystając z krótkiego przeciągu
Wziął by go z sobą Rotter na Kazimierz
Siknąłby brudną wodą z wodociągu,
Wskazał doniosłość ze żydostwem przymierz
I po protekcyę — radził — jeśli wola
Jechać do Brodów albo Tarnopola.

Po tych przyjęciach gość miły się uda
Na konferencyę z burmistrzem Friedleinem,
Bo już o wpływach jego słyszał cuda —
A więc pan Friedlein w posiedzeniu tajnem
Da republikom wyraz swego żalu
I niezawisłość przyrzeknie Transwaalu.

Więc, panie Krüger, wracaj do Afryki!
Każ w pochwę schować skrwawione oręże,
Zdaj los na zwykłą drogę polityki,
I skoroś poznał tak wybitne męże
To już nie trzeba poruszać ci Władze
Ani w Paryżu, ni w gościnnej Hadze!

Jedź pocieszony! i pozostaw nas tu
Losom i doli naszej niewesołej,
Zostaw tę chlubę krajowi i miastu,
Że nie ma dosyć pieniędzy na szkoły
Lecz mu nie braknie na żadne bankiety
Ni malowanym posłom na dyjety.

Znam tych, co duszę sprzedają za pieniądz
I tych, co kryją twarz w błazeńską maskę
I tych co, własnej godności nie ceniąc,
Chwytają pański uśmiech albo łaskę
I tych co jedzą ościsty i twardy
Chleb w twarz rzucony — z litości czy wzgardy.

Ja — wziąłem przykład z owych mężów chytrych,
Sławnych w historyi jak nieboszczyk Ulis
I do teatru wkradłem się... Mój wytrych
Otwarł mi przejścia krakowskich za — kulis
Wszedłem i patrzę: To ładna zachęta!
To ma być sztuka narodowa, święta...

Bo piętnujemy to, że wprost jest głupie,
Lub co najwyżej może śmieszyć troszki
Kiedy u Gimpla w żargonowej trupie
Dają dla żydków „Miszki oder Moszki“
Inna rzecz całkiem, gdy w miejskim teatrze
Na polskiej scenie na tosamo patrzę!

Dziś teatr stał się przybytkiem ohydy,
Bezecnych brudów i kału ulicy
Gdy lada Feldmann, lada jakie żydy
W plugawych pejsach, w zbłoconej jupicy
Do miejsc przybytków świętych nam się wedrą,
Kędy króluje nieśmiertelny Fredro!

Więc „polską sztukę “niechaj dziś uprzejmie
Przygarnie „Teatr ludowy“ w zawiązku,
Niechaj z litości chociaż się podejmie
Narodowego swego obowiązku
I niech sztandaru tego godnie broni,
Gdy miejski teatr wypuścił go z dłoni!!

Amaris.

NADESŁANE.

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: Kazimierz Ehrenberg.